5. ... w Krakowie
ul. św. Anny 12

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca ... KIOSKACH „RUCHU" Cena 20 gr.

ECHO SPOŁECZNE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM I PRACOWNICZYM

NR. 8 — WARSZAWA – 15 KWIETNIA 1936 R. — ROK IV

NUMER NINIEJSZY PRZYNOSI: JAN OLSKI: Dziwna budowla; JADWIGA KRAWCZYŃSKA: Rola kobiet w organizacjach zawodowych; PAWEŁ HULKA LASKOWSKI: Człowiek Pracy. Może chcecie poznać prawdę?; GR.: Na marginesie polemiki o Funduszu Pracy; DELTA: Poczucie prawa u ludzi pracy; WŁODZIMIERZ SZCZEPAŃSKI: Nowe przepisy o godzinach nadliczbowych; RYSZARD KARNICKI: Inwestycje państwowe i rezerwy instytucyj ubezpieczeń społecznych (dokończenie); HENRYK LUKREC: Ideowe możliwości Polskiego Radja; JAN LORENTOWICZ: Lata terminatorstwa życiowego; T. J. O.: Jednostka w życiu zbiorowem (II); JÓZEF CZYŚCIECKI: „My chcemy króla"; R. T.: Przegląd polityczny; IRENA KRZYWICKA: W teatrze; L. J.: Dwie wystawy; ARTE: Feljeton muzyczny; oraz: Apetyty rosną przy jedzeniu; Do czego to prowadzi?; Z życia naszego Związku; Kronika spraw pracowniczych; Ze świata i wiele innych.

JAN OLSKI.

DZIWNA BUDOWLA

„Polska powinna mieć ustrój parlamentarny, nie może być na świecie wyjątkiem, jak Włochy lub Rosja..."

(Wyjątek z oświadczenia Józefa Piłsudskiego „O reorganizację władz państwowych" — 13. 3. 1928).

„(I) Sejm sprawuje funkcje ustawodawcze i kontrolę nad działalnością Rządu; nadto do Sejmu należy ustalanie budżetu i nakładanie ciężarów na obywateli".

Art. 31 Konstytucji Rzeczp. Polskiej.

W ostatnich dniach marca r. b. odbyły się retoryczne uroczystości „pokropku" na terenie naszych instytucyj parlamentarnych, upoważniające do złożenia obydwu „ciał" na dłuższy odpoczynek.

Niechaj tedy i nam wolno będzie wygłosić kilką słów prawdziwych z okazji owych uroczystości, a przedewszystkiem zastanowić się nad tem, czy i co realnego dla polskiego Świata Pracy uczyniła ubiegła kadencja parlamentarna, oraz czego możemy się spodziewać wogóle po obecnym naszym parlamentaryźmie.

Przyznajemy otwarcie już na samym wstępie, że prace pracowniczego przedstawicielstwa parlamentarnego zawiodły całkowicie nasze — zresztą bardzo skromne i oględne — oczekiwania.

Sprawy pracownicze nie posunęły się ani na pół kroku naprzód. Na szarym, raczej ołowianym, horyzoncie naszej codziennej wegetacji, nie ukazał się ani jeden promień jasny — zwiastun lżejszej nieco doli. Jesteśmy przegrani na każdym odcinku nędznej naszej reduty.

Weźmy pod rozwagę przykładowo — gwoli szczerszemu spojrzeniu prawdzie w oczy — kilka spraw pracowniczych, bliżej znanych i interesujących świat pracowniczy. A więc, przedewszystkiem **zagadnienie polityki personelnej** w urzędach, instytucjach, przemysłowych zakładach pracy i t. p. Czy powszechnie znane i wielokrotnie piętnowane nieprawości tej polityki znalazły należyty oddźwięk w parlamencie; czy wyrządzone krzywdy wartościowym obywatelkom i obywatelom zostały naprawione; czy ta polityka uwzględnia uczciwe i racjonalne zasady zatrudniania; czy bierze ona dostateczny i skuteczny udział w zwalczaniu bezrobocia; czy w dostatecznym stopniu zwalcza niczem nieuzasadnioną protekcję oraz panoszenie się przy biurkach i w warsztatach pracy chamstwa, złodziejstwa, nierόbstwa i delatorstwa? Na wszystkie te pytania odpowiadamy negatywnie, twierdząc jednocześnie, że samowola tej polityki trwa nadal i że nadal wzrastają z tego powodu fermenty w świecie pracowniczym.

Dalej — **zagadnienia ustawodawstwa socjalnego** wogóle, a w szczególności sprawy Izb Pracy i ubezpieczeń społecznych. Gdy mowa o Izbach Pracy, to przypominamy, że parlamentarne przedstawicielstwo pracownicze zadowoliło się milcząco oświadczeniem przedstawiciela czynnika rządzącego po odbyciu narady nad tezami o Izbach Pracy — tezami, które uznane zostały przez wszystkich zaproszonych na tę naradę, jako błędne i nieistotne, — że trzeba czekać czas dłuższy na opracowanie nowych projektów ministerjalnych. To znaczy — utopiono klucze, owe Izby otwierające. Jeszcze jaskrawiej bezsilność i bezplanowość przedstawicielstwa parlamentarnego uwydatniła się na tle sprawy ubezpieczeń społecznych. Cała opinja świata pracowniczego potężnie dzwoniła na alarm, informując o powolnej, lecz nieustannej, zgubie ubezpieczeń społecznych. Wołania te odbiły się w parlamencie cichutkim, lękliwym echem, niby szmer schnącego strumyka, i nic ponadto. A kwestja przywrócenia samorządu w ubezpieczeniach?

Podobno jeden z pp. Biurokracych miał się wyrazić, że Świat Pracy nie dorósł jeszcze do sprawowania rządów w ubezpieczeniach!

Doskonale rozumiemy sens tego oświadczenia. Komisarki są o wiele, oczywiście, wygodniejsze, ale zagadnienie, czy ubezpieczenia będą w możności dłużej je utrzymywać — bynajmniej nie zdaje się niepokoić czynników miarodajnych.

Nie wypadało również — zapewne dla świętego spokoju — ustalić terminów spłaty przez pracodawców wielomiljonowych sum zaległych składek na rzecz ubezpieczeń społecznych, — sum, w których tkwią — niczem zrabowana krwawica — składki pracownicze. I w tym zakresie sukcesy naszych parlamentarzystów są żadne, jako, że nic z niczego się nie tworzy.

Świat pracowniczy otrzymywałby większe jeszcze cięgi, będąc pozbawiony skutecznej obrony parlamentarnej, gdyby nie własna tego świata samoobrona, oparta na wierze w słuszność jego walki i na olbrzymim wysiłku grup pracowniczych, walkę tę prowadzących. Niechaj przykładem służą wysiłki samorządowców i ubezpieczeniowców w obronie przed krzywdzącem ustawodawstwem pracowniczem.

Wreszcie ostatnia — dla przykładu — sprawa, ta najważniejsza, zlekceważona przez posłów „pracowniczych": **sprawa walki z bezrobociem.**

Ze zdumieniem i jednocześnie z przerażeniem czytamy pierwszy rzeczowy, ogłoszony drukiem, komunikat Parlamentarnej Grupy Pracy. Dowiadujemy się z niego, że dopiero 9 kwietnia 1936 r. odbyło się ważniejsze zebranie tej parlamentarnej grupy przy udziale aż 23 (!) posłów i senatorów, poświęcone zagadnieniom walki z bezrobociem.

Dopiero teraz sławetna grupa uznała dla siebie za możliwe i dozwolone stwierdzić, że akcja walki z bezrobociem w Polsce jest nieskuteczna. Wybrano komisję dla opracowania postulatów i wniosków, odnoszących się do tego zagadnienia, oraz ustalono skład delegacji do P. Prezesa Rady Ministrów, która ma przedstawić mu aktualny stan walki z bezrobociem „nie w postaci memorjału, ale alarmu" (!)

O, cześć wam, panowie parlamentarzyści z Parlamentarnej Grupy Pracy, za te wasze troski i usiłowania walki z bezrobociem w Polsce i „alarmowanie" Pana Premjera. Całe szczęście, że ta działalność nie rozwija się na terenie ochotniczej straży ogniowej w czasie pożaru. Bo gdyby tak było, toby połowa Polski padła pastwą płomieni.

Czyż nie wręcz tragicznie przedstawia się całokształt działalności parlamentarnej grupy dla spraw świata pracowniczego?

Zastanówmy się, chociażby pokrótce, jakie mogą być tego stanu rzeczy przyczyny. Częstokrotnie słyszymy opinje, że wszystkiemu winna wadliwa ordynacja wyborcza i nikt i nic ponadto; albo — inaczej: że całkowitą winę ponieść mają parlamentarzyści, jako, że nie potrafią dostosować istoty swej pracy do takich, a nie innych, ram ustrojowych.

Naszem, atoli, zdaniem „fatalizm", jaki zaciążył nad pracami posłów pracowniczych, bierze swój początek w powiązaniu elementów formalnych z rzeczowymi. Nie da się zaprzeczyć, że lipcowe ordynacje wyborcze pachną zdaleka, i to mocno, dość prymitywnej konstrukcji maszynką biurokratyczną. Przecież nawet laikowi w sprawach wewnętrzno-politycznych państwa rzuca się w oczy niesharmonizowanie przepisów wyborczych z poważnymi ośrodkami społecznej pracy państwowo-twórczej, a dalej urzędnicze, to znaczy obojętne i szablonowe, potraktowanie konstytucyjnych praw obywateli. Nic przeto dziwnego, że akcja wyborcza, potraktowana krótkowzrocznie, skazana została na niepopularność w kraju, natomiast poczynania opozycyjne, bojkotujące wybory, doznały w ten sposób bardzo skutecznej, choć wbrew woli i chęciom organizatorów akcji wyborczej, podpory.

Przechodząc zkolei do wyliczenia podanych uprzednio elementów rzeczowych, pragniemy wskazać przedewszystkiem na krańcową indywidualizację działalności poselskiej na terenie parlamentarnym, która w praktyce rozbroiła doszczętnie przeciętnego parlamentarzystę ze skromnego naogół ekwipunku pomysłów, inicjatywy i argumentacji w zamierzanych dysputach poselskich. Dalej, od-

(Dalszy ciąg na stronie 2-giej)

OD WYDAWNICTWA

W najbliższym czasie „Echo Społeczne" wydaje drukiem pracę popularnego historyka Prof. Jana Krzesławskiego p. t. „Prawda o Stanisławie Brzozowskim".

Książka ta, oświetlająca objektywnie, na podstawie oryginalnych materjałów archiwalnych, osobę i działalność Stanisława Brzozowskiego, tego niezwykle utalentowanego przedstawiciela „Młodej Polski" z przed lat 30-tu, a jednocześnie człowieka, skazanego przez los na tragiczne przeżycia, ukaże się w 25-tą rocznicę śmierci Brzozowskiego.

Omawiana książka, której objektywizm, konieczny w tym wypadku, zapewniony jest przedewszystkiem przez powagę jej autora, jest przeznaczona zarówno dla przeciwników, jak i dla przyjaciół Stanisława Brzozowskiego — tej nierozwiązanej do dnia dzisiejszego zagadki w działalności wyzwoleńczej Polski konspiracyjnej.

*

Podajemy do wiadomości naszych czytelników, że wydana nakładem „Echa Społecznego" broszura Józefa Wasowskiego p. t. „Może chcecie poznać prawdę..." jest już na wyczerpaniu.

Otrzymać książkę można za cenę zł. 1 gr. 50 w większych księgarniach, oraz składzie głównym — księgarnia Wł. Michalaka i S-ki, Warszawa, Nowy Świat 59.

Prawo walki o byt jest prawem istnienia życia w świecie

J. Piłsudski.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

Rola kobiet w organizacjach zawodowych

W organizacjach społecznych o charakterze humanitarnym i opiekuńczym większość stanowią kobiety — one bardzo często stoją na czele instytucyj, one prowadzą zarządy, one organizują imprezy wszelkiego rodzaju. Udział ich w tego rodzaju akcjach jest znacznie żywszy i liczniejszy, niż udział mężczyzn, którzy ograniczają się zazwyczaj do spraw natury reprezentacyjnej i formalnej, względnie handlowej.

Jeżeli nawet — jak się zdarza — organizacja społeczna wprowadziła trochę dziwny usus „rozdziału płci", oddając funkcje kierownicze i prowadzenie zasadniczych spraw w ręce mężczyzn, a tworząc specjalne „koła pań", jako przybudówki o charakterze podrzędnym, np. dla spraw towarzyskich i dochodów niestałych, to nawet wtedy te „herbatkowe" i „rautowe" działaczki zbiegają się w dużej liczbie.

Nie wypada tu wymieniać nazw i tytułów organizacyj i instytucyj, korzystających z dużego współudziału kobiet, ale spójrzmy na nasze organizacje opieki nad dziećmi, nasze towarzystwa oświatowe, nasze wielkie organizacje humanitarne, pomocy dla bezrobotnych, chorych, propagandy patrjotycznej —powszechnego i regjonalnego charakteru — wszędzie mnóstwo czynnych członkiń. I to nietylko spośród „pań z towarzystwa", nie mających zajęć zawodowych i trosk zarobkowych — lecz pracują tam zawzięcie i z zapałem nauczycielki, urzędniczki, pracownice umysłowe z różnych gałęzi zawodowych.

Dlaczegóż tedy tak rzadko spotkać można kobiety, działające w organizacjach zawodowych, pracowniczych

Dlaczego nietylko **w zarządach i w sekcjach związków zawodowych brak kobiet,** lecz **i znikoma liczba członkiń** należy wogóle do tych organizacyj?

Ze strony samych pracownic słyszymy pewną krytykę organizacyj zawodowych, zniechęcających kobiety rutynicznym zasklepieniem, zbytnim „akademizmem", jakąś teoretyczną raczej, niż praktyczną obroną interesów pracowniczych. Niekiedy kobiety są zdania, że zagadnienia prawne, ubezpieczeniowe, organizacyjne, stanowiące oś spraw pracowniczych są zbyt obce, dla jednych „za nudne", dla innych — zbyt „trudne". Są wreszcie kobiety nieśmiałe, które nie chcą zabierać głosu w dyskusjach, ani w większem gronie wydać opinji własnej. Unikają więc tych zebrań, na których w dodatku one, pracownice podrzędne, należące do najniższych kategorji stanowisk, znajdują się oko w oko z wybitnymi przywódcami i dygnitarzami. Nierówność szans je odstrasza.

Wreszcie argument, który ma pozory słuszności: brak czasu. Istotnie, pracownica biurowa, lub nauczycielka, po godzinach pracy zarobkowej i zawodowej, ma prawie zawsze obowiązki domowe, gospodarstwo, dzieci, rodzinę, które wymagają jej obecności, opieki, pracy czynnej, nieraz bardzo absorbującej i ciężkiej. To prawda, że prace te rzadko tylko obciążają mężczyzn, że rzadko który z nich dzieli z żoną, czy z siostrą kłopoty zajęć domowych i wychowawczych w rodzinie. Ma więc czas wolny na pracę w organizacji zawodowej — to prawda. Lecz ta sama kobieta, pracownica, chętnie odda resztki swego czasu, swe nieliczne wolne chwile na jakąś inną pracę społeczną, w jakiejkolwiek organizacji... Naogół mało jest inteligentnych kobiet, które nie należałyby do jakiegoś koła, do jakiegoś towarzystwa o charakterze opiekuńczym, kulturalnym, artystycznym, zaspakajając w ten sposób potrzeby i aspiracje umysłowe i towarzyskie, oraz społeczne, wykorzystując swą energję w działalności na mniej lub więcej ulubionem polu zamiłowań.

Czasami też słyszy się, że „kobiety nie są dopuszczane" do związków i organizacyj zawodowych, że nie mogą w nich uzyskać miejsc w zarządach, i t. p. Możliwe, że są związki, które zazdrośnie i wyłącznie strzegą przywilejów płci silniejszej — ileż to jednak razy kobiety doskonale przezwyciężały groźniejsze zastrzeżenia i wchodziły do instytucyj, do których nie otwierano im drzwi zbyt gościnnie! Zresztą jest raczej przeciwnie: związki chciałyby zainteresować swą akcją i celami kobiety i wciągnąć je do współpracy. Nie robią jednak nic realnego w tym kierunku, brak im impulsu, czy też nie umieją zerwać z dotychczasową rutyną. Poprzestają na tem, że z żalem wyrażają się o nieobecności kobiet, proszą o udział koleżanek, deklarują gotowość powierzenia im odpowiedzialnych funkcyj w zarządach. I wciąż nadaremnie — niema magnesu, którym możnaby ściągnąć oporny ogół koleżanek do pracy. Naturalnie ogół, bo w każdej prawie organizacji, jak rodzynki w cieście, znajdą się działaczki, nietylko z zapałem pracujące, lecz za swoją pracę mające uznanie i „honory" organizacyjne, w postaci miejsc w zarządach, osoby nieraz bardzo wpływowe, z którenmi liczą się najpoważniejsi przywódcy organizacyj. Nie cytując nazwisk, przypomnijmy nasze posłanki, delegatki do komisyj Ligi Narodów, na Międzynarodowe Kongresy i Konferencje Pracy i t. d.

Te pojedyncze jaskółki, nie poparte przez liczebny udział koleżanek w organizacji, muszą pozostać nieśmiałemi (nawet, gdy są bardzo odważne i dzielne) zwiastunkami wiosny, która nie nadchodzi.

Obojętność pracownic na własną sytuację zawodową, niezrozumienie interesu obrony własnej i całości poprzez organizację wspólną pracowników, wyrządza ciężkie szkody przedewszystkiem im samym. Nie trzeba być jasnowidzem, by pojąć, że kwestja redukcji zamężnych pracownic, kwestja wynagrodzeń, reprezentacji, emerytur, różnych korzyści, względnie krzywd, musiałaby przybrać inny, lepszy dla pracownic obrót, gdyby one same dbały o własne sprawy, gdyby ich interesy były należycie reprezentowane i bronione przez organizacje zawodowe. Że wreszcie i siła tych organizacyj zawodowych byłaby większa w stosunku do liczby członków, gdyby kobiety weszły masowo do związków pracowniczych.

Falanga pracownic, pozostających dziś luźno, poza organizacjami zawodowemi, jest wielkim zbiornikiem sił niewyzyskanych, a niewątpliwie cennych. W organizacjach znalazłoby się pole pracy i dla osób zbyt nieśmiałych, które boją się własnego głosu podczas dyskusji na pełnej sali. Znalazłaby się praca dla działaczek zawodowych, dla utalentowanych mówczyń, dla organizatorek imprez rozrywkowych i dochodowych, dla gospodarnych, praktycznych organizatorek samopomocy materjalnej, tak potrzebnej w instytucjach pracowniczych. Akcje kulturalne, oświatowe, opiekuńcze (wychowanie fizyczne, sport, dzieci pracowników, akcje literackie, artystyczne, prasowe) mogłyby się lepiej rozwinąć przy udziale kobiet.

Ze strony mężczyzn niejednokrotnie daje się słyszeć opinja, która powinnaby być odczuta pochlebnie przez koleżanki pracy: że udział kobiet w organizacjach zawodowych przyczynia się wybitnie do wytworzenia atmosfery większej życzliwości i sympatji wśród uczestników, do łagodzenia zatargów i niechęci, do ożywienia i ukulturalnienia współdziałania w organizacji. Kobieta — twierdzą — wnosi większą łatwość porozumienia w zbyt kanciaste i zasadnicze stanowiska, a swem praktycznem i kompromisowem ujęciem wielu zagadnień ułatwia realizację spraw, które w wyłącznie męskiem gronie pozostałyby jeszcze długo w stadjum teoretycznych nieprzejednanych dyskusyj i sporów. Nawet najbardziej bezkompromisowy społecznik uzna, że w ramach organizacji konieczny i pożądany jest czynnik kompromisu na wewnątrz, tam, gdzie chodzi o interes wielkiego ogółu, złożonego z tysięcy jednostek.

Rola kobiet, pracownic w związkach zawodowych i organizacjach koleżeńskich z tego punktu widzenia nabiera pewnego oświetlenia etycznego i towarzyskiego, niezależnie od roli czysto organizacyjnej. Nie może to być hamulcem wstępowania kobiet do związków pracowniczych, a dla wielu może być zachętą, gdyż nawet bez głębszego przestudjowania zagadnień zawodowych (co powinno być ambicją wszystkich pracowników bez różnicy płci) mają przed sobą otwarte pole działania, jeśli nie bardzo przodujące, to bardzo sympatyczne.

Byłoby pożądane, gdyby organizacje pracownicze poświęciły nieco uwagi specjalnej akcji werbunkowej wśród koleżanek, przeprowadzając propagandę, która pokazałaby korzyści udziału i wartości współpracy.

Jadwiga Krawczyńska.

(Dokończenie ze strony 1-szej)

czuwamy słabe przeważnie przygotowanie przedstawicieli narodu do rozwijania planowej, i odważnej, a zarazem twórczej działalności parlamentarnej. Co groźniejsze, że brak danych, aby formułować pomyślniejsze horoskopy w tej dziedzinie na najbliższą przyszłość.

Również wysoce szkodliwą dla prac parlamentarnych jest abstynencja poselska, gdy chodzi o szerszy i bezpośredni, a niewypadkowy, kontakt z wyborcami (o nim dopiero w „pokropku" usłyszeli nasi parlamentarzyści z ust swych Marszałków). Gdy mowa o posłach pracowniczych, to brak omawianego porozumienia pociąga za sobą ten dotkliwy moment w ich pracach, że poseł nie czuje poza sobą w momentach ważnych i odważnych posunięć taktycznych na terenie parlamentu oddanych mu, wierzących w niego, zorganizowanych należycie mas pracowniczych.

Z tem ostatniem naświetleniem sprawy wiąże się moment pokrewny, również mało dostrzegalny u naszych przedstawicieli, — a jest nim brak wspólnego, mocnego i jednolitego frontu, zarówno w ataku, jak i w obronie spraw pracowniczych. Podstawowe wiadomości z wojskowej służby polowej wskazują przecież niedwuznacznie na to, że tyraljera bynajmniej nie przesądza dodatnio ani o zdolnościach wodza, ani też o wyrobieniu szeregowych.

Wreszcie, jako ostatni zkolei, nie ze znaczenia czynnik, „fatalistyczny" w pracach gmachu przy ul. Wiejskiej występuje, według naszego mniemania, niedostatecznie jasno i otwarcie sprecyzowanie zakresu i metod współpracy (w praktyce) parlamentaryzmu ze sferami rządzącemi. Na tem właśnie tle powstają nieporozumienia o charakterze „prestiżowym" fatalne w skutkach, zarówno dla samej współpracy, jak i dla opinji obywateli.

Nie rościmy sobie pretensyj do uznania naszych wywodów za wyczerpujące tę wysoce już skomplikowaną dzisiaj kwestję dziwnej doprawdy budowli naszego życia państwowego i politycznego.

Przeciwnie, będziemy szczerze radzi, o ile czytelnicy nasi, rozważając wspólne nasze troski i dotychczasowe klęski w walce parlamentarnej o lepsze jutro, osiągną pogłębienie i poszerzenie tego zagadnienia.

Faktem jest natomiast bezspornym, iż niewiele dobrego zdziała dla Polski Niepodległej i Demokratycznej obecny zespół poselsko-senatorski, jeżeli się nie przyczyni do umocnienia — i to możliwie szybkiego — splotu trzech żywotnych organizmów polskiej rzeczywistości: Narodu, jego przedstawicielstwa parlamentarnego i rządu.

Na ten właśnie czyn i zbawienne jego skutki dla Sprawy czeka z malejącą już cierpliwością cały polski Świat Pracy.

Jan Olski

Przez silną Polskę na morzu do poprawy bytu. Pamiętaj o FUNDUSZU OBRONY MORSKIEJ Konto P. K. O. Nr. 42.001

Ubezpieczenia Społeczne w Polsce

w latach 1925–1934

Polskie ubezpieczenia społeczne obejmują „wszystkie osoby, bez różnicy płci i wieku, pozostające w stosunku pracy najemnej lub w stosunku służbowym". Liczba uprawnionych i zainteresowanych w ubezpieczeniu wynosi ponad 6 miljonów, t. j. $^{1}/_{6}$ część ludności.

Ubezpieczenia społeczne, dzięki świadczeniom, chronią swych członków przed koniecznością korzystania z publicznej opieki nad biednymi, zapewniając każdemu uprawnionemu (ubezpieczonemu i członkom ich rodzin) minimum egzystencji w wypadkach:

1) choroby i macierzyństwa,
2) w wypadku w zatrudnieniu oraz chorobach zawodowych,
3) inwalidztwa, śmierci i na starość,
4) bezrobocia.

Na wszystkie świadczenia w latach 1925—1934 ubezpieczenia społeczne wypłaciły łącznie 3.368.230.000 złotych (w tem na świadczenia chorobowe 1.881.087.000 zł., na wypadkowe— 293.178.000 zł., na emerytalne: pracowników umysłowych — 130.709.000 złotych, robotników — 482.201.000 zł., bezrobocia — 581.055.000 zł.).

Obecnie wszystkie ubezpieczenia wypłacają każdego miesiąca ponad ½ miljona stałych rent (wypadkowe, emerytalne), udzielają w miljonowych wypadkach porad i pomocy lekarskiej. Świadczenia te umożliwiają egzystencję setek tysięcy weteranów pracy, ich wdowom i sierotom, a tem samem zwiększają ogólną konsumcję.

Podstawę finansową ubezpieczeń społecznych stanowią składki ubezpieczeniowe, opłacane w części przez ubezpieczonych i pracodawców.

Składki, wymierzone w okresie 1925—1934, wyniosły — 4.343.066.000 złotych. W sumie tej udział: pracodawców wyniósł około 2.500.000.000 złotych, ubezpieczonych — około 1.730.000.000 zł., a Skarbu Państwa — około 113.000.000.

Koszty administracyjne wyniosły w latach 1925—1934 łącznie 413.878.000 złotych, t. j. poniżej 10% wymiaru składek.

Ilość pracowników Centrali Zakładu i we wszystkich instytucjach podlegających nadzorowi Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, wynosiła 1 stycznia 1936 r. 15.848 osób, w tem 7.739 pracowników umysłowych. 2.262 pracowników fizycznych, 3.396 lekarzy i 2.451 pracowników, należących do personelu pomocniczo - lekarskiego. Suma wynagrodzeń wszystkich pracowników ubezpieczeń społecznych wyniosła w miesiącu grudniu 1935 r. zł. 4.143.671.

Nadwyżki budżetowe, po pokryciu kosztów świadczeń i wydatków administracyjnych, odkładają ubezpieczenia społeczne, jako fundusze rezerwowe. Lokaty funduszów ubezpieczeniowych dokonywane są z bezpieczeństwem prawnem pod nadzorem władz państwowych.

Z końcem 1934 r. łączne fundusze ubezpieczeń społecznych wynosiły 1.305 miljonów złotych. Kapitały ulokowane w bankach wynosiły 205,5 milj. złotych, w papierach wartościowych — 2663 milj. zł., w pożyczkach hipotecznych — 132,5 milj. zł., a w nieruchomościach — 240 milj. złotych. Suma zaległości składkowych wynosiła 286 miljonów złotych, a innych aktywów 178 milj. złotych. Kapitały te służą na zabezpieczenie wypłaty przyszłych świadczeń i przyczyniają się do zapewnienia życiu gospodarczemu taniego kredytu długoterminowego.

„ECHO SPOŁECZNE"
JEST NAJ WIĘKSZEM TAŃSZEM
CZASOPISMEM PRACOWNICZEM

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

CZŁOWIEK PRACY

Może chcecie poznać prawdę?

Taki jest nagłówek ostatniej pracy wnikliwego i czujnego publicysty, Józefa Wasowskiego, który zebrał sporo faktów ilustrujących naszą smutną dzisiejszość i pokazał nam człowieka pracy od strony skutków bezrobocia masowego. Czy chcemy poznać prawdę? Któżby jej poznać nie chciał! Wszak sam Chrystus powiedział: „Poznacie prawdę i prawda wyswobodzi was". Więc już dla tej obietnicy wyswobodzenia ze straszliwego jarzma niedoli chcemy poznać prawdę.

Na stronicach książki Wasowskiego znajdujemy wszystkie postacie niedoli ludzkiej od pogranicza niepowodzenia życiowego aż po głęboki tragizm rozpaczy, wiodącej do zbrodni. Ale w tej książeczce są tylko fakty. Mają wymowę, która nie potrzebuje komentarzy o ile chodzi o reakcje uczuciowe czytelnika. Te świadectwa nieszczęścia ludzkiego niezawinionego, narzuconego ludziom dobrym, pracowitym i szlachetnym przez warunki i okoliczności życiowe, wzruszają, oburzają, wywołują uczucie buntu, ale wywołują także pragnienie pomocy. Czytelnik chciałby tym cierpiącym braciom i siostrom dopomóc szybko i gruntownie. Chciałby tym tonącym podać rękę pomocną, wyciągnąć ich z bagna nędzy, upadku i rozpaczy, ale nie wie jak to zrobić.

Co więcej: nie wie, co oznaczają te niezliczone już fakty najpowszechniejszej niedoli ludzkiej. Niema chleba dla wielu ludzi, niema dla nich mieszkania, niema pracy i niema radości życia. Ale dlaczego tak jest? Na kilkanaście lat przed wojną znakomity psychjatra niemiecki, Willmans, zbierał na swojej klinice włóczęgów i poddawał ich obserwacji naukowej, uważając włóczęgostwo za rodzaj choroby psychicznej, postać niedospołecznienia. Człowiek unikający pracy był zagadką. Dzisiaj zagadką jest to „coś" niewiadomego, co nie daje pracy, a jeśli daje, to ją jaknajgorzej wynagradza i wogóle traktuje jak jakieś zło konieczne.

Co to jest? I tu właśnie zaczyna się poszukiwanie prawdy. Sama fenomenologja to jeszcze nie jest prawda wyzwalająca. Te fakty, jakie podaje nam publicysta, są nam znane z pism, które dzień w dzień odczytujemy przy porannej herbacie. Moglibyśmy je uzupełnić mnóstwem faktów podobnych z własnego sąsiedztwa. Znamy kradzieże młodych zacnych chłopców, którzy po ukończeniu szkoły powszechnej i praktyki darmowej, po odsłużeniu wojska i po dwuletniem daremnem poszukiwaniu pracy opuścili ręce i stali się złodziejami. Znamy samobójców, którzy drogę do przedwczesnego grobu usiali nadludzkiemi wysiłkami zdobycia wiedzy, aby móc zdobyć prawo do życia, do kawałka chleba i kąta w ciepłej izbie. Znamy matki i ojców, którzy spoglądając na swoje głodne dzieci, dla których nie mogą zapracować na chleb, popadają w stan chorobliwej prostracji, która pewnego dnia wybucha ostrym szałem. Znamy dzieci trudniące się sprzedawaniem gazet i nietylko gazet, aby od czasu do czasu bezrobotnym rodzicom kupić kawałek chleba. Widujemy młode dziewczynki w wieku szkolnym, stające przy okienku kasy kinowej z kilkoma programami w ręku. Po dziesięć groszy. Ktoś się obrusza, że taka panienka jużby też mogła zarobić sobie na kino inaczej, a nie wystawać tu z programami. „Panienka" zalewa się łzami i płonie ze wstydu. Nie na kino sprzedaje te programy, ale na chleb dla swej matki-wdowy, która od miesięcy leży w łóżku zwalona ciężką chorobą.

Ta fenomenologja współczesnej nędzy jest straszna. Ale to jest tylko fenomenologja dla nas, czytelników. Czytamy w „Kurjerze" o młodych kobietach, które pokończyły kursy pielęgniarstwa i chcą pracować za utrzymanie i 10 złotych miesięcznie. Tak jest: dziesięć złotych. Jakiś gruźlik błaga o litość i pracę jakąkolwiek za jakiekolwiek wynagrodzenie. Ktoś zaofiarowuje „biegłej maszynistce" pracę i żąda ofert pod „Pensja 60.—". Buchalter wędrowny szuka pracy za 15 złotych miesięcznie, jakiś inżynier-budowniczy z dyplomem i doświadczeniem szuka pracy za 250—300 złotych miesięcznie. Ktoś ma wózek rowerowy i gotów służyć i tym wózkiem i sobą za kawałek chleba.

My znamy te fakty. Fenomenologja straszliwa. Ale co ona znaczy? Bezrobotność? Dobrze, ale dlaczego jest bezrobotność? Bo jest nadprodukcja przy zmniejszonem spożyciu. Dlaczego jest nadprodukcja i zmniejszone spożycie? Nawet wielcy fachowcy, socjologowie i ekonomiści, mężowie stanu i politycy nie umieją odpowiedzieć na te pytania, nie umieją powiedzieć dlaczego jest tak właśnie, jak jest. Prawda to nie fenomenologja, ale etjologja, djagnoza i prognoza. Chodzi o to, że trzeba znać przyczyny, aby zapobiegać skutecznie ich następstwom, trzeba umieć określić stan niedomagania czy też ciężkiej choroby społeczności ludzkiej, aby móc rokować o przyszłości świata.

Do tych wszystkich objawów niedoli ludzkiej i nędzy moralnej całego świata, należy dodać objaw najgorszy: obojętność człowieka na to, co się dzisiaj dzieje. Oczywiście, jest serdeczne, tkliwe współczucie, jest dobroć, która wtyka głodnemu jałmużnę w zimną dłoń, jest szpital dla ludzi zagłodzonych, jest rubryka w pismach, która rejestruje różne ofiary dla nędzarzy. Ale obok tego współczucia serc i nerwów istnieje zupełna obojętność umysłów i woli. Przyznajmyż się, że reagując na niedolę bliźnich naszych uczuciowo, wzburzeniem i buntem wewnętrznym, nie próbujemy nawet zareagować na nie umysłem badawczym, zrozumieć istotę zła i zapobiec mu nie dorywczo, nie w pewnym określonym przypadku, jednym z wielu tysięcy, ale zasadniczo, zbiorowo, gruntownie.

Powikłania między pracodawcą a pracobiorcą rozstrzygał dotychczas wyłącznie pracodawca, ale nie dlatego jedynie, że miał władzę, lecz i dlatego przedewszystkiem, że pracobiorca nie interesował się dość szczerze zagadnieniami połączonemi z warunkami jego istnienia. Nawet strajki bywały ileż razy odruchem uczuciowym, na który zracjonalizowana myśl pracodawców odpowiadała nie uczuciowym, ale realnym lokautem, podyktowanym takiemi a takiemi stwierdzalnemi warunkami życia i produkcji.

Żadna sztuka pisarska nie dorówna czarowi rzeczywistości, tej prawdy najbezpośredniejszej, która wyzwala. Myślę, że w „Echu Społecznem" najciekawszą, najżywiej interesującą rubryką byłyby głosy ludzi pracy na temat tej fenomenologji społecznej, którą w książeczce swojej zebrał Wasowski. Każdy z nas wszak patrzy dzień w dzień na te zjawiska. Są bolesne i tragiczne. Co o nich sądzi człowiek pracy? Ten człowiek, który styka się stale z pracą własną i cudzą, z pracą kierowników i wykonawców, ze skutkami coraz większego tanienia jego pracy, ze zgrozą towarzyszącą mu stale, iż nawet tę tanią pracę swoją może lada dzień utracić?

Któż jest kompetentniejszy w pewnych sprawach dotyczących pracy od najbezpośredniejszego jej przedstawiciela, czyli człowieka pracy? Osobliwie człowieka pracy umysłowej, który do warsztatu swej codziennej powinności wnosi nietylko ręce i rutynę, ale także przygotowanie umysłowe do obejmowania zjawisk wybiegających daleko poza halę fabryczną, czy też biuro pewnej instytucji.

Niema żadnych prac tak dalece autonomicznych, aby się z sobą nie wiązały w organiczną całość. Bezrobotność jednych pociąga z nieubłaganą koniecznością bezrobotność innych za sobą. **Tua res agitur**, pracowniku umysłowy. Myśl o tem, co widzisz, mów o wynikach swojej myślowej pracy i przyczyniaj się do poznania tej prawdy, która wyzwala. Pisz o tem, co widzisz dokoła siebie, oceniaj krytykuj, wskazuj drogi naprawy.

Ale... czy chcąc poznać prawdę, odważymy się powiedzieć wszystko, co jest niewątpliwą prawdą dla człowieka pracy? Czy gotowi jesteśmy usłyszeć całą prawdę? Tu jest jeden z problematów dzisiejszej demokracji w stanie kryzysu. Prawda wyzwala, ale prawda jest gorzka niekiedy jak lek uzdrawiający. Czy możemy powiedzieć sobie całą prawdę o niedoli dzisiejszego człowieka, którego praca jest coraz tańsza?

P. Hulka-Laskowski.

Do czego to prowadzi?

Jako ilustrację warunków pracy „lekarzy domowych" w ubezpieczalniach społecznych na prowincji oraz jako objaw nieudolności odnośnych zwierzchnich czynników ubezpieczeń społecznych w dziedzinie walki z bezrobociem inteligencji zawodowej przytaczamy wyjątek z listu (prywatnego) jednego z poważnych „domowców", na prowincji.

Opis stanu faktycznego zasługuje — ze względu na osobę autora — na całkowite zaufanie. Pytamy: do czego prowadzi to białe niewolnictwo i jak w tego rodzaju warunkach życia i pracy najuczciwszy nawet lekarz-społecznik może wykonywać swe obowiązki lekarza—„opiekuna zdrowia" ubezpieczonych?

Wyjątek z listu brzmi, jak następuje: „...reszty nie czytałem nie dlatego, żebym nie chciał, lecz poprostu z braku czasu i przemęczenia pracą, a ściślej nadmiarem pracy, której brak innym, a której nam, lekarzom „domowym", ubezpieczalnia społeczna nie żałuje. Na miejscu, gdzieby mogło conajmniej dwóch lekarzy jeść chleb, orze w dosłownem tego wyrazu znaczeniu, jeden przez dzień i noc, świątek i piątek, zwłaszcza w warunkach prowincjonalnych. Do tego stopnia jestem zaharowany, że nawet gazety nie mam czasu przeczytać, nie mówiąc już o pismach i książkach fachowych lub o załatwieniu spraw osobistych, o których mogę pomyśleć tylko dorywczo i ukradkiem. Po całodziennej udręce człowiek jest tak zmęczony, że już mu się niczego nie chce, a mózg staje się jakby pustym; ciało ogarnia wprost zwierzęce pragnienie wypoczynku za wszelką cenę".

Apetyty rosną przy jedzeniu

Nasze Ministerstwo Opieki Społecznej uznało za właściwe uczynić pracodawcom, zalegającym w regulowaniu składek na rzecz ubezpieczeń społecznych dalsze, daleko idące ulgi. dochodzące do 86% zaległych składek i odsetek. Ulgi te dotyczą „tylko" zaległości, pochodzących z okresu przed 1 stycznia 1934 roku.

Zdemoralizowani licznemi ulgami płatniczemi, jakie zdołali wytargować, pracodawcy poczęli stosować „samoumarzanie" należności na rzecz nielubianych przez nich ubezpieczeń społecznych w zakresie — co do czasu — znacznie szerszym, gdyż sięgającym aż dni ostatnich. „Nieporozumienie" wyjaśniono publicznie. Pracodawcy nie okazują z tego tytułu specjalnej troski, pocieszając się znaną pogwarką, że „co się odwlecze, to nie uciecze".

System „ulg" w postaci skreślań bezspornych należności, winnych od obywateli czy to Skarbowi Państwa, czy też instytucjom ubezpieczeń społecznych, nie uważamy za właściwe ani ze względów merytorycznych, ani też wychowawczych.

Czy nie byłoby właściwiej podać — w miarę potrzeby — ocenie krytycznej skalę obciążeń podatkowych lub składkowych i zmusić następnie obywateli do bezwarunkowego i regularnego płacenia nałożonych opłat, aniżeli demoralizować poszczególne grupy obywateli możnością niepłacenia zobowiązań z oczywistą i niepowetowaną szkodą dla zainteresowanych instytucyj.



Wielki bankiet dla Radjosłuchaczy

Polskie Radjo zaprasza z okazji 10-lecia swego istnienia całą przeszło półmiljonową rzeszę swych radjosłuchaczy na wielki bankiet, który odbędzie się w sobotę dnia 18.IV. o godz. 21.30 na falach wszystkich rozgłośni polskich.

Komitet tej imprezy dołoży wszelkich starań, by zapewnić gościom jaknajwięcej przyjemności przedewszystkiem natury „akustyczno - kulinarnej". Uczta przygotowana jest w sposób zdumiewająco bogaty: nie zabraknie żadnej ulubionej potrawy, żadnych smakołyków, każdy znajdzie coś dla swego gustu i podniebienia. Tak więc rozpocznie się biesiada smacznemi zakąskami, francuskiemi hors d'oeuvre'ami, włoskiemi sałatkami, rosyjskiemi blinami z kawiorem itp. W „daniach" głównych wybrać sobie będą mogli radjosłuchacze według upodobania pikantny gularz węgierski (w formie czardasza), rybę po żydowsku, pularde w potrawce lub wykwintne języczki słowicze, nawet z koloraturą.

Desery wykwintne, jak tort hiszpański — w hiszpańskiej piosence, polski wielkanocny mazurek, lub też ser szwajcarski z jodlerami, wszystko to podlane najwspanialszemi winami, jak miodem staropolsko-polonezowym, lub hiszpańską malagą, doda uczcie wspaniałości i świetności. Uczta zapowiada się tem okazalej, że przygotowuje ją jako szef kuchni wytrawny Zdzisław Górzyński z plejadą swych znakomitych pomocników dwóch orkiestr Polskiego Radja, do specjalnych zaś smakołyków powołani zostali znani fachowcy-śpiewacy, instrumentaliści i recytatorzy.

Poczucie prawa u ludzi pracy

Zaczęło się to jeszcze za czasów okupacyjnych, za jakichś do szczętu zapomnianych rządów Jana Kantego Steczkowskiego, a może którego z jego poprzedników — całkiem skrom nie napozór i niewinnie: wydawnictwem czternastu małych zeszytów „Dziennika Ustaw". A rozrosło się w ciągu lat niespełna dwudziestu w olbrzymie tomiska, istną knieję bezbrzeżną ustaw i rozporządzeń, których nieznajomością nikomu się tłumaczyć nie wolno, a znać ich nikt nie może...

Jęczą ludzie na ten nawał ustawodawstwa i krzywią się komicznie na tę inflację przepisów. Sytuacja byłaby tak samo groteskowo-dziwaczna, gdyby tomów „Dziennika Ustaw" było dwa razy, trzy razy mniej. Nawet tego nowego wydania urzędowego zbioru praw dziś jeszcze żyjących, z pominięciem ustaw uchylonych lub zniesionych, niczyja głowa nie zdołałaby pomieścić, spamiętać, obrócić do codziennego użytku. Na szczęście, do ustaw zaglądamy tylko w potrzebie — i dlatego są one drukowane, aby nie obciążały magazynu naszej pamięci.

Cóżby to było jednak, gdyby rządząc się względami na pojemność naszego mózgu i pamięci, prawodawcy nasi obdarzyli nas zaledwie tylko połową tych ustaw, jakie istnieją? Napewno jakieś i czyjeś dobro pozostałoby niechronione. Czasem dobro publiczne, powszechne; czasem — poszczególnych ludzi lub całych warstw społecznych. Nie, już niech lepiej różnica między objętością czaszki ludzkiej a objętością pełnego zbioru „Dziennika Ustaw" będzie bardziej rażąca, a zato — niech prawo wdziera się w takie dziedziny życia, w których dotychczas istniało tylko prawo niepisane — prawo silniejszego, prawo spryciarza, prawo obłudnika i oszusta.

Uważny czytelnik z łatwością dostrzeże, iż w poprzedzającem zdaniu użyliśmy wyrazu „prawo" w swoich różnych znaczeniach. Raz — dla oznaczenia tym wyrazem „ustawy", która coś komuś nakazuje lub czegoś zakazuje; w drugiem zaś wypadku — nazywamy prawem pewne dobro, stanowiące ochronę słabszego przed silniejszym, jednostki przed zbiorowością. W ironicznem wreszcie znaczeniu używając wyrażenia „prawo silniejszego" — zaznaczamy tem, że gdzie nie istnieje prawo słabszego do ochrony, gdzie nie wkracza prawo, jako ustawa, tam bezprawie święci bezkarnie swe triumfy i staje się prawem na wyrost: przywilejem swobodnego działania na szkodę społeczności lub jednostki słabszej.

W tych „nadmiernie rozrośniętych", w tych „nazbyt licznych" tomach prawodawstwa mieści się, między innemi — prawodawstwo pracy. Jest to jakgdyby obszar twardego gruntu pod naszemi stopami wśród dookolnego grzęzawiska. Wyspa wśród płynnego żywiołu. Ta twarda ziemia pod stopami, dzięki której odmienia się nasz pogląd na życie. Innemi na nie spoglądać możemy oczyma.

Spójrzmy wstecz poza siebie o kilkadziesiąt lat. Jeśli zaś chodzi o nasze, polskie stosunki w b. zaborze rosyjskim, wystarczy sięgnąć pamięcią o lat dwadzieścia kilka, w czasy przedwojenne. Człowiek pracy jest człowiekiem wydziedziczonym, pozbawionym opieki. „Prawo silniejszego" panuje nad nim bezwzględnie. Jakiż jest jego pierwszy odruch — jego, który prawo znał dotąd tylko jako ciężar nakazów i zakazów, a nigdy — jako osłonę przed wyzyskiem i samowolą, jako ochronę jego dóbr osobistych?

Najpierwszym odruchem będzie odruch siły. Daje mu ją organizacja, zespalająca słabych we wspólnym wysiłku. Człowiek bezprawny i wydziedziczony, czując nad sobą ustawiczną groźbę przemocy, reaguje użyciem siły i wierzy tylko w siłę. Pierwszym odruchom proletarjatu na początku 19-go stulecia towarzyszą gwałty, niszczenie maszyn, rozruchy i t. p.

Już pierwszy zawiązek praw, zdobytych — dajmy na to — układem z pracodawcą po wygranym strajku, stwarza poczucie prawa. Ochronę tego prawa stanowi groźba użycia siły: ponowienie strajku w razie odmowy słusznym żądaniom, wynikającym z zawartego układu. Lecz na miejsce pojęcia siły, jako regulatora stosunków między pracownikiem a pracodawcą, wstępuje już pojęcie prawa, które zostało zdobyte i które się ma.

Dalszym etapem w rozwoju pojęcia prawa będzie, gdy prawo to nie wynika z układu, kończącego stan użycia siły, lecz opiera się na ingerencji społeczeństwa w formie ustawy. Ustawy nie są nigdy doskonałe, mają swe wady, istnieją w nich luki, wytwarzają się stopniowo drogi ich obejścia; lecz zasadniczem dobrem istnienia ustaw, zabezpieczających pracownika, jest to, iż stwarzają w nim poczucie jego prawa.

Mieć prawo! Jest to wielką rzeczą, wielką korzyścią mieć do czegoś prawo, oraz wiedzieć, że kto inny nie ma do czegoś prawa na moją szkodę. Ważnem jest to poczucie, iż prawo ochrania mnie zawsze, że jest ono stałym regulatorem stosunków między mną a mym pracodawcą. To coś zupełnie innego, niż liczyć na wyjątkowy wypadek użycia siły zbiorowej dla ochrony mego interesu. We wszystkich innych wypadkach, gdy siła ta użyć ani zmobilizować się nie daje, jestem zdany na łaskę bezprawia, które zrobi ze mną co zechce. Muszę się przed niem ugiąć, muszę pamiętać, aby go nie drażnić — aż do tego wyjątkowego momentu, gdy nie będę musiał pokornie uginać karku, gdyż siła zbiorowa wystąpi w obronie jakiejś cząstki mego interesu.

Prawo zaś, gdy je posiadam, pozwala mi nie być pokornym. Daje mi możność rozpoczęcia obrony w każdej chwili i w każdym wypadku, gdy czuję się niesłusznie pokrzywdzonym. Prawo ocala moją dumę, moją godność osobistą i niezależność. I odwrotnie: w miarę jak ochraniające mnie prawo jest niedoskonałem, niedostatecznem, źle wykonywanem, czuję, jak moje poczucie osobistej godności i niezależności kurczy się, maleje, zostaje na szwank narażonem.

Należy szerzyć i rozwijać znajomość prawa — w znaczeniu ustaw, jakie są dla ochrony człowieka wydane. Ale jeszcze więcej należy rozwijać w człowieku pracy poczucie prawa. Ażeby on rozumiał, że istnieje jakieś jego prawo, aby nie miał psychiki niewolnika.

Jakaż bowiem inna prowadzi droga do wytworzenia w człowieku pracy jeszcze innej odmiany poczucia prawa i jako obowiązku, który winien on wykonywać nie pod przymusem i nietylko wtedy, gdy istnieje nad nim przymus wykonania obowiązku, lecz dobrowolnie, w poczuciu przynależności swej do społeczeństwa, do swego narodu i państwa? Niema innej drogi do uczynienia człowieka pracy obywatelem, jak poprzez wykształcenie w nim poczucia jego praw. Nie jest to bynajmniej stosunek wymiany: jeśli społeczeństwo szanuje moje prawa, to ja skolei — i na tyleż, na ile one są szanowane, będę respektował moje obowiązki wobec społeczności. Nie! Jest to sprawa metody reagowania, sposobu ujmowania całokształtu zjawisk życia:

Jeżeli przywykłem do myśli, że regulatorem stosunku świata ludzkiego do mnie jest prawo, to inaczej, jak w kategorjach prawa, nie potrafię widzieć mego stosunku do społeczeństwa. Wtenczas w każdej ustawie widzę nie przeszkodę do ominięcia, lecz obowiązek do lojalnego wykonania. Jeśli wobec mnie regulatorem stosunku jest tylko siła, gwałt — to nie jestem w możności mego stosunku do społeczeństwa inaczej sobie uświadomić, jak tylko jako ustępstwo przed siłą.

Nie trzeba powoływać przykładów. Istnieją dowody, dość liczne, iż pracownicy umysłowi posiadają silne poczucie swych obowiązków obywatelskich. Szkołą tego poczucia obywatelskiego jest rozwinięte poczucie własnych praw. Ci, którym brak tego poczucia mogą być wygodnymi dla swych zwierzchników podwładnymi, rozpłaszczać się przed ich wymaganiami, lecz — będzie o nich głucho na polu pracy obywatelskiej dla powszechnego dobra.

Delta.

„AJENCJA WSCHODNIA"
Sp. z o. o.
Centrala w Warszawie, Nowy Świat 16
podjęła się wydania
specjalnego
„WARSZAWSKIEGO SKOROWIDZA BRANŻOWEGO"
zestawionego wg. branż i zawodów.

Skorowidz zawierać będzie następujące rubryki:
a) fabryki, b) wytwórnie mniejsze, c) fabryczne składy, d) rzemieślnicy, e) przedstawiciele, f) hurtownicy, g) detaliści, h) rzeczoznawcy sądowi, z podaniem wszystkich adresów odnośnej branży

„Skorowidz ten zostanie wydany w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy, w cenie popularnej, która wyniesie w przedpłacie zł. 6.— (bez kosztów przesyłki) za egz. Po wydaniu — koszt egzemplarza będzie wyższy.

„Skorowidz" będzie zawierał około 50.000 adresów warszawskich i format jego będzie zbliżony do formatu warszawskiej księgi telefonicznej.

Zamówienia na poszczególne egzemplarze oraz na ogłoszenia w „Skorowidzu" przyjmuje „Ajencja Wschodnia", Warszawa, ul. Nowy Świat 16, tel. 144-62.

Na marginesie polemiki o Funduszu Pracy

W końcu ubiegłego miesiąca na łamach „Polski Zbrojnej" wszczęto polemikę na temat Funduszu Pracy. W n-rze 29-ym, w artykule p. t.: „Zbędne Ministerstwo" wysunięto tezę, że Fundusz Pracy jest nową formą zlikwidowanego Ministerstwa Robót Publicznych i, dublując szereg czynności z innymi resortami państwowemi, obciąża akcję zatrudnienia bezrobotnych wysokiemi kosztami administracyjnemi.

W jednym z dalszych n-rów wspomniany organ kół wojskowych, w polemice z wyjaśnieniem P. Dyrektora Dolanowskiego, w artykule „Dookoła Funduszu Pracy", dochodzi do wniosku, że istnienie Funduszu Pracy jest zbędne, albowiem zarówno ściąganie opłat, jak i ich rozdział uskuteczniać może Ministerstwo Skarbu bezpośrednio.

Zagadnienie istotnie poważne, jednak „Polska Zbrojna" w tym wypadku zbyt upraszcza sobie rozwiązanie sprawy, której doniosłość społeczną doceniać winien każdy obywatel kraju.

Klęska braku pracy spowodowała konieczność wprowadzenia w życie ustawy o zabezpieczeniu na wypadek bezrobocia w roku 1924. W ten sposób powstał Fundusz Bezrobocia, który gromadził środki finansowe z wkładek pracodawców i pracobiorców, jak również z przewidzianych ustawą dopłat Skarbu Państwa. Ze środków tych robotnik w razie utraty pracy otrzymywał zasiłki. W okresie zgórą 10-letnim Fundusz Bezrobocia był na tym odcinku regulatorem życia robotniczego i w wielu wypadkach łagodził opozycyjne nastroje mas robotniczych, przeciwdziałając skutecznie agitacji wywrotowej, wykorzystującej dla swoich celów nędzę polskiego robotnika. Utrzymanie bezpieczeństwa w Państwie w dużej mierze spoczywało na barkach Funduszu Bezrobocia. Słusznie jeden z wojewodów w rozmowie z przedstawicielem Funduszu Bezrobocia oświadczył: — Jeżeli wy nie przyjdziecie mi z pomocą, policja będzie musiała strzelać!

Tragiczne, ale jakże wymowne słowa! W iluż wypadkach policja musiałaby wkraczać, gdyby nie było Funduszu Bezrobocia!

Działalność Funduszu Bezrobocia, choć wysoce pożyteczna, tylko częściowo obejmowała kapitalne zagadnienie bezrobocia w Polsce; ograniczała się ona bowiem wyłącznie do odcinka łagodzenia skutków braku pracy, zagadnienie zaś zasadnicze — przeciwdziałanie bezrobociu — nie było ujęte w zorganizowane ramy i sprowadzało się jedynie do sporadycznych wysiłków poszczególnych resortów państwowych. Dopiero w roku 1933 zdrowa myśl państwowa powołała do życia Fundusz Pracy, zakreślając mu szerokie zadania walki z bezrobociem. Od tej chwili dopiero zagadnienie to o olbrzymiem znaczeniu społecznem i państwowem uzyskało właściwe ujęcie.

Dokonane w roku 1935 scalenie Funduszu Bezrobocia z Funduszem Pracy było logiczną koniecznością ześrodkowania w jednej jednostce organizacyjnej dwóch zagadnień z sobą ściśle złączonych: walki z brakiem pracy i walki ze skutkami bezrobocia. Obecny Fundusz Pracy jako pierwsze podstawowe zadanie stawia sobie zatrudnienie bezrobotnych, a dopiero jako zagadnienie wtórne — niesienie pomocy tym, którzy dla tych, czy innych powodów pracy otrzymać nie mogą.

Pan Dyrektor Dolanowski w piśmie swoim do redakcji „Polski Zbrojnej" stwierdza, że Fundusz Pracy uzyskuje za pośrednictwem własnego aparatu ogromny, jak na nasze stosunki, procent ściągalności, bo zgórą 97. Zachodzi pytanie, jakie przyczyny powodują tak dużą ściągalność? Sprężystość aparatu? Oczywiście, dobrze zorganizowany aparat w znacznej mierze przyczynia się do uzyskania tak wysokiej normy, ale nie jest to jego wyłączną zasługą. Należy stwierdzić, że społeczeństwo na Fundusz Pracy daje chętnie, bo widzi, że za zebrane tą drogą pieniądze ożywia on życie gospodarcze w kraju, daje zatrudnienie masom bezrobotnych, w porze zaś zimowej przychodzi im z pomocą albo ustawową, albo też doraźną i w ten sposób wpływa w znacznym stopniu na utrzymanie spokoju i bezpieczeństwa w kraju. Społeczeństwo to widzi, bo współpracuje z Funduszem Pracy, czy to w Radzie Głównej, czy to w Radach Wojewódzkich, czy też w całej sieci Komitetów Lokalnych, rozsianych po całej Polsce i to stanowi w organizacji Funduszu Pracy ten wielki plus, którego żaden urząd ściśle państwowy nigdy mieć nie będzie. Społeczeństwo widzi, że instytucja ta powstała z jego potrzeb i jest silnie z niem zespolona.

Czy rozbijanie tej więzi jest celowe? Czy zdrowa myśl państwowa może do tego dopuścić? Pytania są warte rozwagi. W obecnem ciężkiem położeniu mas robotniczych zagadnienie to nabiera specjalnego znaczenia

Gr.

Polacy niestety nie lubią oszczędzać

Ostatnio Międzynarodowy Komitet Oszczędnościowy dokonał ciekawych zestawień, ilustrujących jak dalece w danym kraju jest rozwinięty zmysł oszczędności. Za kryterjum oceny posłużyła Komitetowi ogólna suma złożonych w kasach oszczędnościowych pieniędzy oraz ilość książeczek oszczędności. Na pierwszem miejscu widzimy w tej statystyce Danję, gdzie na jednego obywatela przypada 1460 zł. oszczędności. W ślad za Danją idzie Szwecja (1377 zł.), Anglja (1297 zł.) itd.

Na tysiąc mieszkańców największą ilość książeczek oszczędnościowych bo 325, ma Holandja. Dalej Anglja — 320, Szwecja — 213 itp.

A Polska? Polska w tej charakteryzującej dobitnie oblicze narodu statystyce jest zdecydowanie na szarym, kompromitująco szarym końcu.

W Polsce bowiem na jednego obywatela przypada „aż" 366 zł. oszczędności (Danja — 1460 zł.!), na 1000 mieszkańców mamy — 20 książeczek oszczędnościowych, (Holandja — 325 książeczek!).

WŁ. SZCZEPAŃSKI

Nowe przepisy o godzinach nadliczbowych

Ustawa o czasie pracy w przemyśle i handlu z dn. 18. 12. 1919 r. nigdy nie miała szczęścia do swych wykonawców. Wprowadzając 8-godzinny dzień pracy, nie obwarował go należycie ani sankcjami karnemi, ani sankcjami cywilnemi. Pracodawcy zaś nie kwapili się do lojalnego przestrzegania przepisów ustawy o czasie pracy.

W pierwszych okresach obowiązywania ustawy o czasie były nawet wypadki, w których sądy karały robotników za nieprzestrzeganie ustawy o czasie pracy. Ta praktyka nie mogła się jednak długo utrzymać i została zarzucona. Przecież za przestrzeganie ustawy o czasie pracy, odpowiadać winien ten, kto wogóle odpowiada za organizację przedsiębiorstwa. Trudno więc twierdzić, że za organizację przedsiębiorstwa odpowiada również pracownik, skoro nie ma on żadnego głosu w przedsiębiorstwie. Nieulegającą wątpliwości jest zasada, że w przedsiębiorstwie za jego organizację odpowiada właściciel lub umocowany przezeń dyrektor..

Zdawałoby się więc, że rzeczy zaczęły się ucierać. Pracodawcy musieli się pogodzić z 8 godzinnym dniem pracy, jako obowiązującym porządkiem prawnym. Aliści przyszedł kryzys. Przyszły redukcje i pracownik, który dotąd milczał w obawie utraty pracy, wyrzucony na bruk, zaczął dochodzić swych roszczeń za godziny nadliczbowe.

Sprawy poczęły mnożyć się jedna za drugą. Okazało się, że 8 godzinny dzień pracy w praktyce był fikcją. Niektóre roszczenia pracowników sięgały bardzo poważnych kwot z tego tytułu.

Wraz z kryzysem pojawił się prąd ochrony dłużnika.

Kierunek ten zawitał również do spraw o należności za godziny nadliczbowe. Sądy zaczęły iść po linji ochrony dłużników, pracodawców, nie bacząc na to, że roszczenia pracowników wobec pracodawców powstały na tle łamania przez tych ostatnich obowiązujących przepisów prawnych.

Wreszcie w dn. 4. 11. 1932 r. Sąd Najwyższy uchwalił wpisać do księgi zasad prawnych następującą tezę:

„Za pracę w godzinach nadliczbowych, nie podpadającą pod postanowienia art. 16 ustawy z dn. 18.12. 1919 r. pracownikowi należy się wynagrodzenie o tyle tylko, o ile pracodawca wzbogacił się pracą pracownika".

O cóż chodzi w tej opinji Sądowi Najwyższemu? Co znaczą słowa „nie podpadającą pod postanowienia art. 16 ustawy o czasie pracy"? Jakie są konsekwencje praktyczne tej zasady prawnej?

Jak wiadomo ustawa o czasie pracy zawiera zakaz pracy w godzinach nadliczbowych. Od tego zakazu są wyjątki, wyjątkami jest praca w określonych wypadkach, za które pracodawca uzyskał zezwolenie na pracę w godzinach nadliczbowych od Ministerstwa Opieki Społecznej.

Wypadki, w których pracodawcy zwracali się do Ministerstwa o zezwolenie, były bardzo rzadkie. Wielkie fabryki zwracały się o zezwolenia. Regułą natomiast była praca w godzinach nadliczbowych bez uzyskiwania zezwolenia organów państwowych.

Orzeczenie powyższe regulowało więc tę sprawę. Wychodząc z założenia, że praca w godzinach nadliczbowych bez zezwolenia państwowego jest pracą nielegalną, orzekło, iż w tych wypadkach pracownikowi nie należą się stawki podwyższone w myśl art. 16, a tylko wynagrodzenie (jakie, niewiadomo) i to tylko wtedy, o ile pracodawca wzbogacił się pracą pracownika.

Był to poważny wyłom w ustawie o czasie pracy i nawrót zarazem do teorji odpowiedzialności pracownika za organizację przedsiębiorstwa. Pominięta została tu okoliczność, że pracownik nie jest w możności sprawdzić, czy pracodawca posiada zezwolenie, że gdyby nawet dowiedział się o braku takiego zezwolenia, to w obawie utraty pracy nic na to poradzić nie może.

Oczywiście to orzeczenie wywarło ten skutek, że pracodawcy coraz rzadziej zwracali się do Ministerstwa Opieki Społecznej o uzyskanie zezwoleń. Pracodawca bowiem lojalny wobec ustaw państwowych stawiał się w gorszem konkurencyjnie położeniu od pracodawcy, który ustaw nie honorował. Ten ostatni tylko wtedy miał obowiązek płacenia za godziny nadliczbowe, gdy mu pracownik udowodnił, że się wzbogacił jego pracą.

Zdawałoby się atoli, że pewne wyjście daje określenie „wzbogacenia". Rozumowanie dość proste szło po linji, iż pracodawca w wypadku przestrzegania czasu pracy, gdyby nie chciał zatrudniać pracowników w godzinach nadliczbowych, musiałby przyjąć nowych. Wzbogacił się przez to, iż otrzymał pracę darmo, nie angażując nowych pracowników.

To dowodzenie było jednak stale odrzucane przez sądy. W ciągu tych kilku lat obowiązywania zasady prawnej o wzbogaceniu ani jeden pracownik nie był w stanie udowodnić przed sądem, że pracodawca pracą darmową wzbogacił się. Wszystkie zaofiarowywane dowody były stale odrzucane.

Sytuacja dla pracowników stawała się ciężka. Wskutek luk w ustawie przepisy prawne stały się martwą literą. Miałem możność rozmawiania w tej sprawie z sędziami. Uważali, że orzecznictwo jest w teoretycznej zgodzie z tekstem ustawy. Nie było środka ratunku na tę rażącą niesprawiedliwość.

Pomimo trzechletniego obowiązywania tej zasady prawnej Ministerstwo Opieki Społecznej nie uważało za stosowne ani zgłosić odpowiedniej noweli, ani też za pośrednictwem Ministerstwa Sprawiedliwości nie zażądało uchwały ogólnego zgromadzenia Sądu Najwyższego.

W tym stanie rzeczy w obecnym sejmie zgłosiłem nowelę do ustawy o czasie pracy. Miałem do wyboru przepracować całe zagadnienie czasu pracy i zgłosić poprawki, usuwające luki i rażące braki ustawy, jakie się ujawniły w życiu albo zgłosić tylko poprawkę załatwiającą sprawę wynagrodzenia za pracę w godzinach nadliczbowych. Wybrałem to drugie, gdyż obawiałem się, że przy opracowywaniu całokształtu zagadnienia załatwienia najbardziej krzywdzącej sprawy ulegnie zwłoce.

I dlatego zgłosiłem nowelę, zawierającą dodanie do art. 16 ustawy nowego ustępu drugiego. Tekst ustępu noweli (druk sejmowy Nr. 54) brzmi, jak następuje:

„Wynagrodzenie za pracę w godzinach nadliczbowych według zasad, określonych w ustępie poprzednim (stawki podwyższone, uwaga redakcji), przysługuje pracownikowi również w wypadkach, gdy pracodawca nie uzyskał zezwolenia na przedłużenie czasu pracy wskutek odmowy ze strony władz bądź wskutek braku odpowiedniego wystąpienia pracodawcy".

Zgłoszona nowela uzyskała jednomyślność w komisji pracy i na plenum Sejmu. Skolei w ostatnim tygodniu sesji została uchwalona przez senat. Senat dodatkowo uchwalił rezolucję wzywającą rząd do wzmożenia nadzoru nad przestrzeganiem ustawy o czasie pracy.

W ciągu najbliższych dni uchwalona przez izby parlamentarne nowela ogłoszona będzie w Dzienniku Ustaw, a tem samem uzyska moc obowiązującą.

Uchwalona nowela reguluje oba wypadki, w których pracodawca nie uzyskał zezwolenia t. j. bądź naskutek odmowy, bądź dlatego, że nie starał się o to zezwolenie.

Z chwilą wejścia w życie noweli na straży skuteczności przepisów ustawy o czasie pracy stać będą obok sankcyj karzących sankcje cywilne, które jak to pokazało życie, są właściwszą bronią w walce z przekraczaniem ustaw, niż grzywny, nakładane przez inspektorów pracy.

Nie należy również zapominać, że walka o przestrzeganie czasu pracy w dobie kryzysu jest jednocześnie jednym ze środków, zwiększającym stan zatrudnienia. W czasie szalejącego bezrobocia zbrodnią społeczną jest bowiem zatrudnianie w godzinach nadliczbowych. Obowiązkiem społeczeństwa jest walczyć z podobnemi objawami.

Wł. Szczepański.

Ilość ubezpieczonych
w Ubezpieczalniach Społecznych w Polsce

Według ostatnich obliczeń, dokonanych w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych, liczba ubezpieczonych we wszystkich ubezpieczalniach społecznych na terenie całego kraju (z wyjątkiem Górnego Śląska) wynosiła w końcu grudnia 1935 r. — 1.616.607 osób, zgłoszonych przez 402.155 zakładów pracy. Ubezpieczeniu chorobowemu podlegało 1.561.802 osób, ubezpieczeniu od wypadków w zatrudnieniu — 1.603.894 (bez pracowników rolnych). ubezpieczeniu emerytalnemu robotników 1.316.557, oraz ubezpieczeniu emerytalnemu pracowników umysłowych 259.852 ubezpieczonych.

Liczba ubezpieczonych w największych ubezpieczalniach społecznych przedstawiała się następująco: Warszawa — 306.430 ubezpieczonych, Łódź — 152.001, Kraków — 81.433, Poznań — 61.679, Wilno — 42.919, Częstochowa — 33.475, Lublin — 28.136, Bydgoszcz — 26.875, Biała — 27.777.

Ze świata

ZŁOTA NA ŚWIECIE CORAZ WIĘCEJ...

Wg. obliczeń, nadesłanych przez Biuro Statystyczne Ligi Narodów w roku 1934 zmarło z głodu 2.400.000 ludzi na świecie. Kryzys gospodarczy pchnął 1.200.000 osób do zamachów samobójczych, 500 miljonów ludzi, a więc jedna czwarta ludności żyjącej na świecie, niema zapewnionych prymitywnych nawet warunków bytowania.

A tymczasem, jakby dla uwypuklenia tej upiornej statystyki, przychodzą inne dane, stwierdzające, że w ciągu roku ubiegłego stan światowych zapasów złota wzrósł o... 500 miljonów dolarów złotych. Wśród państw, wykazujących dla swego skarbca największy przyrost złota, kroczą na pierwszem miejscu Stany Zjednoczone (1,178 miljonów dolarów złotych), dalej — Kanada (55 milj. dolarów), i Anglja (39 milj. dol.).

Coś jest naprawdę bardzo nie w porządku na naszym globie. Wzrost nędzy i wzrost... zapasów złota.

KRAJ W KTÓRYM BUDŻET PAŃSTWOWY WYKAZUJE NADWYŻKĘ.

Jak podają pisma szwedzkie w Szwecji budżet wykazał ostatnio 36 miljonów nadwyżki. Dzieje się to mimo ciągłego zwiększania wydatków na roboty publiczne i na zwalczanie bezrobocia. W preliminarzu budżetowym na rok 1936 pozycja wydatków na opiekę społeczną jest o 100 miljonow większa od analogicznej pozycji w ubiegłym roku. Widzimy tam preliminowaną zniżkę podatków o blisko 10%, jak również spłatę zaciągniętych przez państwo pożyczek inwestycyjnych, których moda nie ominęła w swoim czasie i Szwecji. Nic więc dziwnego, że akcje idą wgórę, a rezerwy złota i dewiz w skarbcu państwowym dają pokrycie walucie szwedzkiej w wysokości 132%.

EMANCYPACJA KOBIETY TURECKIEJ.

Kobieta w Turcji bierze coraz żywszy udział w życiu państwowem. zajmując wybitne stanowiska w sądownictwie, administracji państwowej samorządowej, oraz wchodząc do wyższego szkolnictwa i zawodów wolnych. W chwili obecnej w wyższej radzie państwa zasiadają w Turcji 4 kobiety. W Ankarze 19 kobiet jest sędziami. 12 — nosi togi adwokackie. 20 kobiet wykłada w wyższych zakładach naukowych. W administracji państwowej i samorządowej około 10.000 kobiet znalazło zatrudnienie. Przemysł turecki liczy w swym personelu wiele urzędniczek i pracownic. W fabrykach Istambułu i Ankary pracuje około 25.000 kobiet.

Przedsiębiorstwo węglowe

Zygmunt Kreczmar i S-ka

Sp. z ogr. odp.

WARSZAWA, ul. CHMIELNA 30

Sprzedaż koksu i węgla z najprzedniejszych koksowni i kopalń w ładunkach całowagonowych oraz na terenie m. st. Warszawa dostawa

ze składu przy ul. Złotej 66

w wozach i skrzynkach 50 kg. plombowanych.

WŁASNY TABOR

DOSTAWA SOLIDNA WAGA GWARANTOWANA

TELEFONY:

BIURO: 208-73 SKŁADY: 299-96

Ideowe możliwości Polskiego Radja

W dniu 6 kwietnia b. r. odbyła się konferencja prasowa, zorganizowana przez naczelną dyrekcję Polskiego Radja. Do licznie zebranych przedstawicieli prasy, wśród których był i przedstawiciel naszego wydawnictwa, przemówił naczelny dyrektor „Radja", p. R. Starzyński. Dyrektor Starzyński w dłuższym wykładzie omówił oprócz spraw budżetowych zagadnienie stosunku radja i prasy oraz wpływ obu tych dziedzin na siebie, ich wzajemne przenikanie i zależności. Dyrektor programowy Radja p. P. Górecki omówił sprawę wewnętrznej organizacji działu programowego, a pułk. Karaffa, dyrektor propagandowy, przedstawił b. ciekawy referat, będący wyrazem mysli i zamierzeń Radja na przyszłość.

Głosy dyskutantów szły w kierunku protestu przeciw traktowaniu sprawy radja od strony ilości i liczb. „Echo Społeczne", ze swej strony, doceniając olbrzymie znaczenie radja dla wszystkich dziedzin życia polskiego, w artykułach swoich pragnie omówić wszechstronnie cele i zadania radja w szczególności w odniesieniu do spraw społecznych i pracowniczych. Początkujemy nasze zamierzenie poniższym artykułem.

REDAKCJA.

Od chwili, kiedy liczba abonentów Polskiego Radja przekroczyła pół miljona, mówi się coraz więcej o znaczeniu i roli tej potężnej instytucji społecznej. Jeżeli zważyć, że lwia część tych abonentów posiada radjoodbiorniki rodzinne, obsługujące kilka a często znacznie więcej osób, jak np. w gromadzie wiejskiej, w domach ludowych, w szkołach i t. d., można śmiało twierdzić, nie wpadając w przesadę, że zasięg oddziaływania Polskiego Radja ogarnia już zbiorowość paromiljonową.

Jeżeli zmierzyć nadto siłę żywego słowa, a także szybkość jego przenoszenia się, oraz działania na umysł i duszę słuchacza, — można łatwo uzmysłowić sobie rozmiar i znaczenie fali radjowej, która, będąc wszechobecna,—daje znać o sobie jednocześnie w mieście, na wsi, w osadzie, w kniejach puszczy i na zapadłym zaścianku.

Ale im bardziej rozrasta się panorama Polskiego Radja, tem wyraźniej występuje różnica między natężeniem jego oddziaływania a możliwościami moralnego panowania w społeczeństwie.

Nad żmudną niewątpliwie pracą sterników Polskiego Radja, którą doceniać należy, ciąży klątwa względów praktycznych i mus przystosowywania programów do skali *przeróżnych wymagań* swoich słuchaczów, tkwiących we wszystkich warstwach, grupach i odłamach społecznych.

Program audycji Polskiego Radja posiekany jest na wiele oddzielnych kawałków, powtłaczanych do różnych działów, stanowi niejako wszystkie części organizmu, których jednakże nie można połączyć w żywą, naturalną całość.

Nie widać dość wyraźnie idei, któraby przenikała do wszystkich działów programu i wiązała je organicznie. Przez to wydaje się, że jestto — jakby mechanicznie skonstruowany robot, powołany częściowo do pełnienia ról zastępczych, a więc: agencji telegraficznej, gazety codziennej, muzyki kawiarnianej, teatrzyku rewjowego, estrady koncertowej i t. d.

Ta rola zastępcza Polskiego Radja, niewątpliwie w pewnym sensie zupełnie usprawiedliwiona i w pewnych granicach użyteczna, mogła zadowalać i wystarczać w początkowych okresach jego rozwoju, ale obecnie, naskutek swego rozrostu i z mocy swego szczególnego znaczenia w czasach *wielkich przemian dziejowych* — bierna postawa wobec burzliwej rzeczywistości staje się już niejako przeżytkiem. Stąd niewątpliwie wytryskuje źródło krytyki i narzekań, a jakkolwiekbądź patrzeć się będzie na liczne objawy niezadowolenia, ile przy ich rozstrząsaniu uda się wyłuskać zdrowych ziarn słuszności, ile natomiast odrzucić wypadnie plew i osiorów w postaci *niczem nieumotywowanych zarzutów i uprzedzeń*, — ostatecznie jednak nie dadzą się wydmuchać i zostaną na przetaku dwie ujemne poniekąd cechy Polskiego Radja, mianowicie: brak wyraźnej idei przewodniej i brak mocnej dźwigni ducha społecznego..

Rzeczywistość polska od lat dwudziestu rozwija się pod znakiem *odrabiania zaległości* materjalnych i *szkód moralnych* z czasów niewoli we wszystkich dziedzinach życia. Kraj, dławiony ciężarem sześciu miljonów dorosłych analfabetów wymaga dziś uruchomienia *wszystkich* sił i *rezerw* cywilizacyjnych społeczeństwa, przedewszystkiem więc szkoły, radja, książki, gazety, teatru i t. d.

Szkoła powszechna wzięła już na siebie zadanie wychowania obywatelskiego, budząc uczucia społeczne, które po zakiełkowaniu w duszy dziecka oplatają w swoim stopniowym rozwoju naprzód środowisko koleżeńskie i rodzinne, by objąć potem życie zbiorowe, narodowe, ludzkie. Ale uczucia te, wypielęgnowane w cieplarnianym klimacie szkoły, więdną lub ulegają zupełnemu zważeniu w zabójczych wyziewach miljonów ludzi dorosłych, dotkniętych klątwą nędzy, poniżenia, wzgardy i ciemnoty.

Przy niskim stanie samowiedzyiświadomości społecznej życie nasze dławi nadto nałogowe, automatyczne myślenie i naśladownictwo bezkrytyczne. *Cudze wpływy*, pozostałe z czasów niewoli, tajona tęsknota miljonów parjasów do dobrych czasów pod zaborami, *moralne* i *instynktowne wspieranie prądów obcych przez żywioły ciemnoty*, — tworzą kamienne zapory dla swobodnego rozrostu poczucia i świadomości obywatelskiej. Żałosne, rozproszone wysiłki entuzjastów oświaty, walczących przeważnie w odosobnieniu, padających na twarz z przepracowania w różnych uniwersytetach powszechnych, uniwersytetach ludowych i na kursach dokształcających, — stanowią syzyfową pracę, albo, jak kto woli, dziecinną zabawkę, drobne naczynie, którem nie wyczerpie się nigdy morza złośliwej ciemnoty, pierwotności uczuć, zacofania, bezduszności i sobkostwa.

Dla dzieła rozbudzenia ducha społecznego powstać musi wielkie ognisko koncentracyjne dla żywiołów kultury, musi być użyty do pomocy tak potężny dźwig wychowawczy, jak Polskie Radjo.

W świetle tego zagadnienia pedagogicznego, a zarazem socjologicznego, chodziłoby przedewszystkiem o zbadanie i drobiazgowe uwzględnienie sieci psychicznej radjosłuchacza, powstającej z mnóstwa najróżnorodniejszych wyobrażeń. Wymagałoby to naprzód *przeprowadzenia studjów przygotowa-* koncentracyjne dla porywów szlachetnych i wielkich namiętności.

psychologji jednostki, jak i psychologji społecznej.

Jeżeli np. siła charakteru bojowników wolności lub misjonarzy, ich pogarda śmierci i niebezpieczeństw, ofiarność, wytrwałość, wspomagana przez znajomość właściwości psychicznych człowieka — dała tak znaczne wyniki, cóż więc dopiero zdziałać może praca ideowa, wyposażona w tak wspaniałe narzędzia i zdobycze cywilizacji, jak rozgłośnie radjowe.

Dla dzieła wychowania poniżonego i wzgardzonego dotąd obywatela i powiązania go węzłami z życiem kraju, społeczeństwa, narodu, ludzkości takie środki intelektualne, jak słowo, wykład, kazanie, moralizatorstwo w dzisiejszych warunkach gorączkowych *poszukiwań celów życia*, w warunkach zmiennych losów i kataklizmów dziejowych, — sa już za słabe i niedostateczne; dla skutecznego oddziaływania na psychikę obywatela stają się nadto potrzebne mocne środki *natury emocjonalnej, symbole, obrazy przeżyć podniosłych*, sugiestje, działające na wyobraźnię, na uczucia i zakładajace szerokie ogniska

Tutaj Polskie Radjo jest niezastąpione, mając w swem rozporządzeniu prócz dalekonośnego słowa ,także muzykę, pieśń, słuchowisko, teatr wyobraźni i t. d.

Polskie Radjo, sięgające w drodze swego rozrostu po wpływy *na wielkie masy ludowe*, w gromadzie wiejskiej, w miasteczku, *w osadzie fabrycznej*, w odległych zaściankach i na zapadłych chutorach, — siłą rzeczy stanie wobec konieczności rozstania się z wyłączną rolę informatora, korespondenta, płyty muzycznej i wogóle szufladkowego konstruktora programów o przypadkowej treści.

Wobec szybko narastających potrzeb krzewienia kultury duchowej i z mocy przypływu wiejskich i robotniczych mas radjosłuchaczów — Polskie Radjo siłą rzeczy wznieść się będzie musiało do samodzielnej, kierowniczej roli w dzisiejszej rzeczywistości polskiej, a odrzucając oportunistyczne względy — powiązać celowo działy swoich programów *wewnetrzną ideową treścią*, którą widzę w żarliwem posłannictwie wychowania obywatelskiego, przepojonem silnym duchem sprawiedliwości społecznej.

Henryk Lukrec

RYSZARD KARNICKI

Inwestycje państwowe i rezerwy instytucyj ubezpieczeń społecznych

(Dokończenie).

O ile nam wiadomo, nie wszystkie zainteresowane działy przemysłu odnoszą się negatywnie do przytoczonego planu, wysuwając ze swej strony postulat słuszny i zrozumiały, aby ewentualne dostawy po cenach eksportowych przeznaczone były wyłącznie dla inwestycji dodatkowych, aby uniknąć ewentualnego zmniejszenia zbytu na rynku wewnętrznym po cenie rynkowej, w której często mieści się już ekwiwalent za niskie ceny eksportowe. Nie będziemy narazie rozwijali szerzej tej kwestji. Zaznaczamy tylko, że w zależności od wyników rozmów i pertraktacji z zainteresowanemi działami produkcji krajowej, rząd byłby skłonny do rozszerzenia planu inwestycyjnego na kwotę o jakieś 40 miljonów złotych a może i więcej, przyczem skarb państwa udzielałby obligów tylko tym przedsiębiorstwom, które bądź pracują o własnym kapitale, albo takim, które mają zapewnione redyskonto. Cel takiego postępowania jest jasny: chodzi o to, aby rynku krajowego nie przeciążać obligami państwowemi. Zresztą nie jest chyba tajemnicą, że rząd zabronił przedsiębiorstwom państwowym wystawiania takich obligów, które dezorganizowały rynek i — wstyd przyznać! — były dyskontowane nieraz po 12 procent!

* * *

Pozycje wydatków, przewidziane w planie inwestycyjnym, przytoczymy tu tylko ogólnikowo, aby nie wchodzić w szczegóły, których omawianie pzekraczałoby ramy naszego artykułu. Powiedzmy więc ogólnikowo: **Na inwestycje przewidziano w planie kwotę 223 miljonów złotych.** Na co pójdą te pieniądze? zapyta Czytelnik. Oto zestawienie **w dziale komunikacji — 103 miljony i 805 tysięcy złotych.** Na tę znaczną stosunkowo sumę, ale napewno niewystarczającą, jeśli uwzględnimy, że obejmuje ona potrzeby kolei, dróg państwowych i inwestycji wodnych, składają się: **budowa linji kolejowych — około 60 miljonów złotych,** **państwowy fundusz drogowy — czyli budowa dróg i szos — 35.325.000 zł i wreszcie inwestycje wodne w zakresie min. komunikacji — 8,5 milj. złotych. W dziale inwestycji min. poczt i telegrafów — 15 milj. złotych,** w czem dalsza budowa kabla dalekosiężnego telefonicznego — łączącego Warszawę z Gdynią kosztować będzie około 5 miljonów złotych, przyczem będzie on w ciągu nadchodzącego roku budżetowego doprowadzony jedynie do Torunia. **W dziale ministerstwa przemysłu i handlu inwestycje przewidują tylko 10 milj. zł.,** z czego spłaty należności za statki „Piłsudski" i „Batory" wynieść mają 8,5 milj. złotych, **a na potrzeby elektryfikacji przewidziano tylko 1,5 miljonów złotych.** Co do spłaty należności za statki, to następuje ona właściwie w węglu, ale pozycja jest nieodzowna, albowiem rząd musi ze swej strony uregulować należność za nabyty węgiel, którym płaci się Włochom. Na potrzeby inwestycyjne **min. rolnictwa i reform rolnych** (meljoracje i t. p.) **9,5 miljonów, min. sprawiedliwości** — budowa gmachów sądowych **— 3 milj. zł, min. oświecenia — 1.8 milj. zł, min. spraw wewnętrznych — 38 milj. zł** (w **tem 1 miljon dla państwowych zakładów wodociągowych na Śląsku).** Dalej idzie omówiona przez nas wyżej obszernie **pozycja 38 miljonów złotych kredytów budowlanych z B. G. K.** i wreszcie **inwestycje samorządów: Warszawy — 9 miljonów złotych, innych samorządów — 30 miljonów złotych.** I tu należy się zastrzec, że właściwie, póki nie dowiemy się, skąd samorządy czerpać będą środki na sfinansowanie inwestycji, nie możemy utrzymywać, że wydatki na ten cel zostały przewidziane w planie inwestycyjnym rządu. Pozycje te zostały raczej wliczone do wykazu prac, jakie będą wykonane tego roku — niekoniecznie finansowanych przez państwo. Dodajmy tu, że w tym roku wprowadzono poraz pierwszy zamierzone przez poszczególne jednostki państwowe inwestycje są badane przez specjalną komisję, na której czele stoi wiceminister Lechnicki. Komisja ta ustala **hierarchję potrzeb inwestycyjnych,** ich kolejność. Temsamem zniknie wreszcie system, przy którym podejmowane inwestycje mniej potrzebne, a prace, które mogły mieć znaczenie dla ożywienia życia gospodarczego, były porzucane.

* * *

Pozostaje nam jeszcze do wyjaśnienia sprawa najdonioślejsza: skąd weźmie rząd środki na sfinansowanie inwestycji, które zostały w planie uznane za najpilniejsze? Oto wykaz, zaczerpnięty ze źródeł urzędowych: Z ogólnej kwoty 90 miljonów złotych **funduszu pracy — 35 miljonów** przeznacza rząd na cele inwestycji, objętych planem. Dalej: **resztki z pożyczki inwestycyjnej w wysokości 20 miljonów złotych** — to druga pozycja. A teraz zbliżamy się do punktu najważniejszego: **rząd postanowił uruchomić na cele inwestycji — oczywiście w porozumieniu z kierownictwami zakładów — rezerwy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, Państwowego Zakładu Emerytalnego, Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych. Zakłady te mają nabyć obligacje renty złotej amortyzacyjnej.** Rząd jest upoważniony do wydania obligacji tej renty, opiewającej złote w złocie, w kwocie 170 miljonów złotych. — Minister Kwiatkowski zapowiedział zresztą, że w razie potrzeby, wystąpi do Sejmu o zezwolenie na emitowanie dalszej emisji tej renty. W chwili, gdy artykuł ten piszemy, nie zostało jeszcze wyjaśnione, **jaką sumę ubezpieczalnie społeczne i inne wymienione zakłady mają ze swych rezerw ulokować w obligacjach złotej renty amortyzacyjnej i czy tylko ten sposób lokaty rezerw tych instytucji wchodzi w grę.** Musimy już teraz zażądać od instytucji ubezpieczeń społecznych, aby nie uważały rozmów z czynnikami rządowemi na temat lokaty rezerw, które stanowią własność publiczną, **za jakąś finezyjną kwestję natury dyplomatycznej.** Rozumiemy, że instytucje te muszą dbać o dobrą i pewną lokatę rezerw i ich niezawodne zabezpieczenie i oprocentowanie. Rozumiemy jednak także, że gdy chodzi o dysponowanie pieniędzmi publicznemi, zachodzi konieczność, aby decyzja ta była przedewszystkiem uzależniona od tych, czyją własność pieniądze te stanowią. Nie można miljonowej rzeszy obywateli w całym kraju zaprosić do rozważania i decydowania tej sprawy. **Można jednak w drodze przywrócenia samorządu ubezpieczeń doskonale wypośrodkować wolę i stanowisko ogółu ubezpieczonych.**

Jesteśmy przekonani, że lokata części rezerw instytucji ubezpieczeń na cel ożywienia życia gospodarczego jest celowa. Wolelibyśmy jednak, aby o tak doniosłej sprawie **nie decydowała jedynie — biurokracja, zarówno skarbowa jak i uzależniona od niej — co tu dużo gadać! — biurokracja ubezpieczeniowa!**

Ryszard Karnicki.

JAN LORENTOWICZ.

Lata terminatorstwa życiowego

W ostatnich czasach otrzymaliśmy szereg powieści, osnutych na tle wspomnień szkolnych. Dotyczą one wszystkie szkół galicyjskich przed wojną. Początek dał Zygmunt Nowakowski swym wybornym „Rubikonem", w którym odtwarza atmosferę uczuciowo - moralną w gimnazjum krakowskiem i stawia ostre oskarżenia przeciw ówczesnym nauczycielom. Maluje stosunki szkolne z nieustraszonym realizmem szczegółów i każe czytelnikowi wierzyć, że rację miała Sempołowska, gdy pisała w swej książce: „Szkoła galicyjska, chociaż w polskim języku prowadzona, wynaradawia skuteczniej, niż szkoła rosyjska lub pruska... Jest szkołą biurokratyczną, wychowuje niewolników". Nowakowski traktował swój temat z zacięciem satyrycznem i szczerym humorem. Znacznie dalej poszedł w swych oskarżeniach Emil Zegadłowicz. Jego „Zmory", napisane z wielkim talentem, zaniepokoiły wielu obłudnych obywateli nie tyle zasadniczą treścią utworu, ile jaskrawemi przystawkami, podanemi w sosie ultra - naturalistycznym, a jak niektórzy świętoszkowie orzekli — „wprost pornograficznym". Akcja dzieje się w gimnazjum prowincjonalnem (podobno w Wadowicach). Nauczyciele gimnazjalni są tu potworami, zdegenerowanymi manjakami i okrutnikami. Atmosfera pozaszkolna, w której się wychowuje młody chłopiec, jest okropna, chwilami wstrząsająca swą grozą. Pomimo widocznych zaokrągleń powieściowych, „Zmory" są rodzajem pamiętnika, to też obraził się na Zegadłowicza... magistrat wadowicki i odebrał mu ulicę, którą ochrzcił jego nazwiskiem.

Wszelkich oskarżeń pod adresem wychowawców zaniechał Witold Bunikiewicz w swej powieści „Życie w kolorach". Opowiadanie zakrojone jest również na wspomnienia osobiste z czasów pobytu w którems z gimnazjów i w którymś z internatów zakonnych we Wschodniej Galicji. Bunikiewicz mówi o czarach życia szkolnego z widocznem wzruszeniem, które tłumi żartami i śmiechem. Nauczyciele są u niego bardzo „zwyczajni": ani dobrzy, ani źli. Natomiast uczniowie są przeważnie rozłobuzowani, dokuczają nauczycielom i kolegom. Głębiej w charaktery Bunikiewicz nie wgląda; chodzi mu o „kolorowość" życia szkolnego i tę wydobywa ze swobodą, opowiadając lekko i żartobliwie.

Do lat gimnazjalnych w Rzeszowie sięga wreszcie p. T a d e u s z P e i p e r w swej powieści: „M a l a t 22" (Kraków, Koło Wydawnicze „Teraz", 1936).

P. Peiper, poeta i krytyk literacki, był u nas jednym z zaszczepców futuryzmu i jego teoretykiem. W programie swego tygodnika „Zwrotnica" zapewniał, że pismo to pragnie w nowym czowieku „rozognić miłość do nowości, którą sam stworzył, a w stosunku do której nie umiał nie być o kilka wieków starszym; pragnie obudzić w nim wiarę w cudotwórczą epokę, w której żyje, i niechęć do martwych epok, które żyją w nim; z nowej duszy pragnie wyprowadzić nową sztukę". Sam program nie może, oczywiście, stworzyć nowego kierunku literackiego.

W poezjach Peipera jest wiele mistyfikacji, chociaż w jego rozprawach teoretycznych nie brak zmysłu krytycznego i niemałej kultury. Po sześciu tomach poezyj mniej lub więcej futurystycznych, p. Peiper zwrócił się do powieści. Powziął odrazu zamiar znaczny, bo obiecuje całą serję opowiadań p. t.: „Poprzez lata". Pierwszym tomem tej serji jest właśnie powieść: „Ma lat 22". Nie odnajdziemy w niej żadnych śladów futuryzmu. Jedyną nowością książki jest jej strona graficzna: autor daje całe opowiadanie w jednym ciągu, bez żadnych „od wiersza", djalogi zaś polecił wydrukować kursywą. W treści książki jest p. Peiper narratorem poważnym, zajętym nieustannie ideologiczną stroną przedmiotu, usiłującym zajrzeć jaknajgłębiej do duszy swego bohatera, Juljusza Ewskiego. Poznajemy tego młodzieńca za jego czasów gimnazjalnych, w Rzeszowie. Ma lat czternaście, ale jest chłopcem przedwcześnie dojrzałym, t. j. mówi językiem autora.

Peiper nie uważa, ażeby życie w murach szkolnych miało jakieś specjalne znaczenie. Więc o życiu tem nie pisze wcale. Natomiast zajmuje go kształtowanie się młodej duszy poza strychulcem gimnazjalnym, w lekturach ucznia, w jego stosunkach koleżeńskich, w tajnych organizacjach. Szkoła daje chłopcu nieco wiedzy ogólnej; charakter zaś człowieka kształci się i urabia przez bezpośrednie zetknięcie się z życiem. Ewski uczy się dobrze, ale ma głód życia społecznego. Wchodzi do tajnej organizacji socjalistycznej, dowiaduje się, co to jest walka klas, czyta, słucha dyskusyj i sam dyskutuje. Od pierwszego spotkania z młodymi „działaczami" ma poczucie jakiejś wyższości własnej, niezbyt usprawiedliwionej, która go nie opuszcza do końca opowiadania. Charakter Ewskiego (z woli, zdaje się, samego autora) jest dość nieuchwytny. Żyje niby ideą, ale w czynach ma nieustanną chwiejność. Zapisał się do „Strzelca" i przejmuje się jego hasłem: „Nie jesteśmy stowarzyszeniem politycznem; jesteśmy związkiem wojskowym. Nie dopuszczamy wniosków, rozpraw, głosowań; żądamy posłuszeństwa wobec wyższej władzy. Nie dyskutujemy; spełniamy rozkazy".

Ale tresurze i rygorom wojskowym nie umie Ewski poddać się całkowicie. Odrywa go od dobrowolnej służby wojskowej — marzenie. Studjuje zawzięcie różne dzieła naukowe i filozoficzne, autor zaś uważa za słuszne i potrzebne podawanie czytelnikowi wyjątków z tych dzieł w cytatach... niemieckich. To znowu Ewski tworzy sobie własną teorję snów, odmienną od freudowskiej i Peiper przytacza i n e x t e n s o bruljony Ewskiego, poświęcone tym sprawom. Nawet i te powiadomienia nie oświetlają nam bliżej charakteru bohatera.

Zegadłowicz z odwagą odtwarza w „Zmorach" niepokoje dorastających chłopców w epoce dojrzewania. Epoka ta bywa niekiedy wysoce dramatyczna i pozostawia głębokie ślady na całe przyszłe życie. Peiper, jakby z przekory, zaoszczędził swemu bohaterowi mocniejszych doznań z tej dziedziny. Ewski przechodzi przez gimnazjum i pierwsze lata uniwersyteckie jako młodzieniec „niewinny". Jedna z koleżanek z całą otwartością oddaje mu swe ciało; nie przyjmuje tego daru. Inna kobieta zainteresowała go żywiej, ale nie umie się z nią obchodzić, — więc odeszła. Niepokój życiowy pobudza Ewskiego do kroku nieoczekiwanego: postanawia wyjechać do Paryża. Zamiar ten dojrzewa w nim szybko, a urzeczywistnienie jego staje się tak pilne, że Ewski nie waha się przed czynem gatunku raczej kryminalnego. Po ojcu pozostał mu w spadku fundusz, którym się opiekuje matka. Ewski zwierza się jej ze swego zamiaru wyjazdu i — otrzymuje odpowiedź odmowną. Wówczas młody działacz - intelektualista dobiera się do kasy matki i kradnie potrzebne mu pieniądze. Głos wewnętrzny mówi mu: „Będzie co będzie! Iść, iść, Juleczku! Pokazać ludziom, jak się żyje!".

Zobaczymy to „życie" zapewne w dalszych tomach serji. To, cośmy otrzymali dotychczas, zawiera wiele stronic napisanych z talentem, wiele rozważań zbędnych, wiele chybionych zabiegów o nowość wyrazu i wiele niejasności w charakterystyce głównej postaci.

Jan Lorentowicz.

Jednostka w życiu zbiorowem

II.

Podnosiliśmy w poprzedniej części naszego szkicu, że każdy z nas obserwując dynamikę życia otaczającego, wyraźnie wyczuwa i niemal widzi jakąś siłę koordynującą, która z rozproszonych jednostek, ja, ty, on, buduje wspólnotę: my. Nazwaliśmy tę siłę wiążącą — solidarnością społeczną.

Łatwo ustalić, że w każdej społeczności, idącej drogą stałego rozwoju, społeczności mniejszej lub większej — ten prąd dośrodkowy, prąd całkujący przeważnie dominuje i rysuje wyraźne oblicze zwartości, organizacyjnej. Gdzie jednostki, składające się na daną społeczność, nie mają dostatecznie wyrobionego poczucia solidarności społecznej lub nie chcą słuchać jej głosu, tam organizacja szybko chyli się ku upadkowi, grożąc korupcją i wewnętrznem osłabieniem.

W społecznościach karnych, posiadających zdyscyplinowanych członków, znających dobrze swoje prawa i obowiązki, bierze górę poczucie solidarności, będące zasadniczą bazą każdej akcji zbiorowej. Pozytywna wola wspólnego działania, opartego na zgodzie i wzajemnem głębokiem zaufaniu, to momenty konstruktywne dla każdej organizacji. W życiu społeczności zdarzają się wypadki gry płytkich i niskich ambicyjek osobistych, ślepych na dobro społeczne, żądnych jedynie osobistych korzyści i osobistych sukcesów ze szkodą dla swojej społeczności. Opanowane przez takie elementy organizacje są w przededniu zagłady.

Tkwi jednak w człowieku społecznym instynkt samoobrony, który tępi wszelkie przejawy przerosłego i szkodliwego dla całości egoizmu. Życie samo deklasuje i kompromituje takie jednostki, które potrafiły dla prywaty zaprzeć się głosu wewnętrznego.

Te dwa momenty jak solidarność społeczna i instynkt samoobrony zbiorowości każą nam wierzyć, że mylił się Herbert Spencer, dowodząc o egoizmie, jako o zasadniczej właściwości duszy ludzkiej. Wielki ten sceptyk szukał w starciu egoizmów jednostkowych t. j. w walce o byt — głównego i dominującego czynnika, budującego postęp. W badaniach naukowych nie znalazł potwierdzenia swej tezy. Nie mógł bowiem zamykać oczu na jaskrawy fakt, że przerost egoizmu, egoizm chorobliwy jest w życiu społecznem wyjątkiem, czarną plamą na karcie tej czy innej organizacji, że samo życie tępi zwyrodniały egoizm. Układ stosunków społecznych buduje w człowieku poczucie łączności organizacyjnej, opartej nietylko na suchej formule, skreślonej na deklaracji związkowej, ale również na łączności duchowej, uczuciowej z ideologią swojej organizacji, z jej celami i zadaniami. Powstaje to, co w potocznej mowie nazywamy „wyrobieniem społecznem", a co przeczy ostatecznie tezie o wszechwładzy egoizmu w życiu jednostek i społeczności. Dzięki temu „wyrobieniu społecznemu", a więc nabytemu w dostatecznej mierze poczuciu solidarności społecznej, między dwoma biegunami: dobrem jednostki i dobrem ogółu, jest jedna tylko prosta droga. Kiedy stajemy przed koniecznością wyboru pomiędzy obiema nie zawahamy się głosu i pracy swojej oddać na dobro społeczności. I to twierdzenie w odniesieniu do świata pracy mamy prawo uznać za pewnik.

Nikt niewątpliwie nie dba tak o prywatę i nie ogląda się przy lada okazji na swoją kieszeń, nikt niema tak głęboko wpojonej w duszę i w serce, niemal w każdy nerw swego ciała prawdy o solidarności organizacyjnej — jak człowiek pracy. Ten człowiek, który drobną często zdawało się niepozorną pracą budował potęgę każdego z państw. Ten człowiek, który potrafił potęgę wrogą sobie obalać, bo niósł w piersi najpotężniejszą broń człowieka — zrozumienie konieczności solidarnych, harmonijnych, a nieustannych uderzeń. Budował i obalał pracownik czy robotnik ustroje państwowe nie dla obłudnych haseł demagogicznych, kryjących w swem cieniu targi o rozdział łupów. Szedł wtedy tylko, jak zawsze, po swoje słuszne prawa, w imię swego pełnego dostojeństwa symbolu: Pracy.

Nic więc dziwnego, że najkorzystniej i najbardziej przekonywująco brzmi odwrotna od spencerowskiej zasada. A więc nie egoizm, lecz altruizm jest podstawą życia społecznego, jest jego motorem sprawczym. Współdziałanie, pomoc wzajemna w działaniu społecznem nie jest dla nas luksusową ozdobą, lecz występuje wyraźnie jako niezbędny zasadniczy warunek powodzenia jakiejkolwiek akcji zbiorowej.

Szczególnie silne potwierdzenie potrzeby jaknajintensywniejszej solidarności w działaniu, jaknajdalej posuniętego altruizmu dają nam dzieje walki świata pracy o należną mu w społeczeństwie państwowo zorganizowanem pozycję. Ta historja mówi nam co może zdziałać jednostka, jeżeli wzrosła w poczuciu nierozerwalnej jedności z ruchem, jeżeli wierzy w słuszność zasad swojej organizacji i w potęgę zbiorowego wysiłku. Taka jednostka nietylko swoją obecnością podnosi liczebność organizacji, ale swoją wiarą, entuzjazmem, zapałem, ofiarnością i wolą zwycięstwa mnoży nieskończenie potęgę swojego związku. Jednocześnie historja ta, ilustrująca walkę świata pracy na przestrzeni wieku XIX i XX w dziedzinie ustawodawstwa socjalnego, dobitnie wykazuje zjawisko znamienne, że istnieje zależność wprost proporcjonalna między siłą świata pracy a tendencjami ustawodawczemi. W miarę wzrostu bowiem siły organizacyjnej, a w ślad za nią siły moralnej ludności pracującej, rośnie stopniowo racjonalizacja ustaw zasadniczych w przedmiocie regulacji warunków pracy, coraz szersze zataczających kręgi, coraz przychylniejszych dla człowieka pracy.

Pracownik fizyczny czy umysłowy miał więc i nadal mieć powinien w potężnych związkach zawodowych przewodnika, który prowadzi go do prawdziwego zwycięstwa idei. Jednostka może zawsze ujemnie lub korzystnie oddziałać na oblicze swej organizacji. Stąd też jednostki aspołeczne, węszące wszędzie tylko swoją korzyść, muszą być bez wahania wolą powszechną eliminowane ze związku. Jakość, nie ilość bowiem decyduje o mocy organizacyjnej. Jak mawiał czarnoleski pieśniarz: „Zwycięstwo liczby nie chce, męstwa potrzebuje".

(c. d. n.)

T. J. O.

Posłuchajmy Ameryki!

„Złapać Amerykę!" Oto wyczyn, który dokonany przez radjosłuchaczy staje się powodem ich dumy. Doniedawna jeszcze wyczyn taki był bardzo trudny do zrealizowania i wywoływał słuszny podziw otoczenia. Obecnie staje się to chlebem codziennym wskutek coraz większej popularności suferheterodyn z zakresem krótkofalowym, pozwalających na łatwy odbiór krótkofalowych stacyj amerykańskich. Jednak, jeżeli odbiornik nie zawiera zakresu fal krótkich, pozostaje jeszcze możliwość słuchania koncertów wykonywanych z drugiej strony Atlantyku za pośrednictwem silnej superstacji 500 Kw., którą poza Ameryką rozporządza tylko Moskwa. Mówimy tutaj o stacji nadawczej w Cincinnati. Aby usłyszeć powyższą stację należy zachować następujące warunki: a) zaczekać do chwili, kiedy stacje europejskie mogące kolidować z odbiorem Cincinnati przestaną pracować, b) skorzystać z okresu najlepszego odbioru transatlantyckiego, to jest około godziny 24.00, 5, 6 rano, c) stosować do odbioru dobry odbiornik (superheterodyna 4-, 5-lampowa) z odpowiednią anteną zewnętrzną długości 8 do 10 metrów. Stacja Cincinnati pracuje na fali 428 mtr. (700 kc) i znajdzie się na skali odbiornika mniejwięcej między Rzymem, a Paryżem P. T. T., naturalnie gdy obie stacje już są nieczynne. Najlepsze warunki odbioru według naszego zdania na podstawie dokonanych prób są między godziną 4, a 6 rano. Niewątpliwie, większość radjosłuchaczy woli o tej godzinie pozostawać w łóżku, pokrzepiając się zdrowym snem po całodziennej pracy. Ale tego nie zrobi prawdziwy radjoamator, aby powiedzeniem: „Tej nocy słucham Ameryki", wzbudzić zazdrość wśród przyjaciół. Zdanie powyższe wypowiedziane swobodnym lekceważącym tonem wywołuje zawsze pożądany efekt.

JÓZEF CZYŚCIECKI.

„My chcemy króla"

„Wszyscy Polacy, którzy myślą jasno, są bezwątpienia monarchistami". Z twierdzenia tego, wyjętego z jubileuszowego numeru miesięcznika „Głos Monarchisty", wynika niedwuznacznie, że wszyscy czytelnicy i współpracownicy „Echa Społecznego" nie myślą jasno. Przykra to rzecz dowiedzieć się tak smutnej rzeczy i w rezultacie stracić szacunek do samego siebie. Ale cóż robić? Mówi się trudno i żyje się dalej.

Jubileusz „Głosu Monarchisty" (10-lecie istnienia miesięcznika) jest dobrą okazją dla przypomnienia, że istnieje w Polsce grupa ludzi, którzy lekarstwo na wszelkie dolegliwości społeczne widzą w zaprowadzeniu w Polsce ustroju monarchicznego. Wyznawców tego programu politycznego łączy nietylko zupełny brak poczucia rzeczywistości społecznej i nieorjentowanie się w prawach, rządzących ruchami społecznemi, ale i jakaś mistyczna wiara w nadprzyrodzone i moralne walory ustroju monarchicznego. „Idea monarchiczna — czytamy w artykule wstępnym — obejmuje całokształt życia i dla monarchistów wierzących łączy się także ściśle z nadziemskimi ideałami. Spisek milczenia, śmiech czy kłamstwa nie mogą prawdziwych monarchistów przygnębić ani zachwiać". Wzywając czytelników do deklarowania sk'adek na rzecz pisma, redakcja dodaje: „niech wreszcie ci, którzy myślą i chcą żyć wzniośle, umożliwią byt trwały i dalszy rozwój „Głosu Monarchisty".

Przyznam się, że te wyznania o wierzących monarchistach, o nadziemskich ideałach i życiu wzniosłem rozczuliły mnie. Jakoś nie wypada uciekać się do kpin, gdy się ma do czynienia z ekstazą duchową i głęboką choć naiwną wiarą. Na szczęście głosy wybitnych monarchistów, zamieszczone w „Ankiecie o monarchji" rozwiewają, stworzoną przez artykuł wstępny, iluzję o istnieniu jakiegoś zakonu wzniosłych i czystych monarchistów, modlących się do Boga o króla, słowami jednej i tej samej modlitwy. Ankieta wskazuje nietylko na olbrzymie rozbieżności w poglądach panów monarchistów, ale i na jedną zasadniczą zgodność, daleką jednak od bezinteresowności wzlotów duchowych. Tą ostatnią jest poczucie klasowej łączności z reakcją polską i śmiertelny strach przed komunizmem, który, jak wiadomo, w interpretacji tej reakcji jest terminem określającym wszystkie radykalne prądy społeczne. „Prócz głównego, poważnego organu (monarchistycznego) — pisze jeden z autorów — powinno wychodzić małe tanie pisemko dla ludności robotniczej. Fundusze na te cele trzeba zbierać głównie w sferach zainteresowanych ruchem robotniczym, a będą to fabrykanci, przemysłowcy i kierownicy wielkich zakładów". Szczerość rozbrajająca!

Dlaczego ustrój monarchiczny jest najdoskonalszą formą rządów? Trudno przytaczać wszystkie argumenty czcigodnych autorów odpowiedzi ankietowych. Zacytujemy najcharakterystyczniejsze:

„...Monarcha wreszcie mógłby łatwiej, niż rządy republikańskie, rozwiązać nierozwiązane dotychczas kwestje narodowościowe w Państwie Polskiem;"

„...istnienie Monarchy, jako personifikacji idei państwowej, stojącego ponad stronnictwami i rzeczywiście od nich niezależnego, będzie doskonałym regulatorem życia politycznego".

„Monarchja jest w Polsce konieczną formą ustroju, ponieważ zapewnia najlepiej sprawiedliwość dla wszystkich obywateli, jest ponad partyjnictwem i sejmami, ponad wszystkiem co przez wybory jątrzy naród".

„Ambicje osobiste, karjerowiczowstwo, chęć wzbogacenia się i użycia, są dla republiki zabójczą trucizną. W monarchji dadzą się należycie wyzyskać w interesie państwa i nieraz mogą zdziałać wielkie rzeczy

Ponadto monarchja może stawiać mniejsze wymagania naturze ludzkiej, gdyż posiada niezależne od niej gwarancje stałości, bezpieczeństwa i ładu: jak majestat panującego, dziedziczność tronu, tradycja dynastyczna; tymczasem w republice wewnętrzna wartość każdoczesnych obywateli jest jedynem zabezpieczeniem".

„...Monarchizm jest koniecznym warunkiem nie jej (Polski) potęgi i dobrobytu, lecz wprost istnienia. Polska jest niepodległa, a czegoś jej brak. ...I coraz więcej ludzi spostrzega, że powodem tej niedoli brak króla i że jego przywrócenie ją usunie... Dalsze hołdowanie demokratyzacji i republice, rychło i na zawsze wymaże Polskę z liczby wolnych narodów. Uratuje nas jedynie monarchizm, bo jest miniaturą rządów Boskich..."

„Tylko dzięki monarchji zdołamy wreszcie osiągnąć stabilizację moralną, psychiczną, polityczną i gospodarczą".

Dosyć. Kto nie umie „jasno myśleć" i tak nie da się przekonać, choćby go nie wiem jak zapewniać o doskonałości tej miniatury rządów boskich. Ponieważ już na wstępie ustaliliśmy, że należymy, niestety, do tej nieuświadomionej części społeczeństwa, przeto nadzieja nawrócenia nas na monarchizm jest minimalna. A szkoda, bo moglibyśmy nasze „ambicje osobiste, karjerowiczostwo, chęć wzbogacenia się i użycia" zaofiarować państwu, któreby naszej naturze stawiało mniejsze wymagania. A tak, zamiast grzechów musimy państwu oddawać coraz to nową część naszych poborów i przytem godzić się jeszcze na stawianie naszej naturze nieznośnych wymagań moralnych.

Jeden z autorów, zabierających głos w ankiecie, pisze dosłownie tak: „Aksyomatem jest, że większość Polaków: za monarchją". Z aksjomatami jest prosta sprawa: nie można ich udowodnić, ale i nie trzeba. Inni autorowie ankiety są jednak mniej lakoniczni i łaskawie wyjaśniają dlaczego aksjomat ten uważają za aksjomat. Poprostu „czysty monarchizm drzemie jak iskierka w popiele, na dnie duszy ludu". Jakiś chłop powiedział p. Hieronimowi hrabiemu Tarnowskiemu, „że u nas póty nie będzie porządku, póki nie będzie króla". Bo, jak komentuje opowiadający ten fakt monarchista, — „chłopu i każdemu trzeźwo myślącemu człowiekowi nie przypadają do gustu apostołowie wolności i równości. Traktuje ich nieufnie, lekceważąco, z pogardą lub nienawiścią". Inny autor jest przeświadczony, że „gdyby zarządzono u nas plebiscyt w tej sprawie wprowadzenia monarchji, to olbrzymia większość narodu niewątpliwie oddałaby swe głosy za tem, aby w Polsce był król".

A więc olbrzymia większość narodu to monarchiści. Bójcie się Boga, czytelnicy kochani! W głowie się kręci! Zaczynam sobie nie wierzyć. Kto wie? Może wy... może my... może ja?... No, cóż? A może to i dobrzeby było? Rosną we mnie wątpliwości i mimowoli zastanawiam się, kogoby tu, panie dzieju, na króla. Musi być oczywiście człowiek rasowy, z dobrej rodziny. Może jakiegoś potomka Piastów? W samem słowie „piast" jest jakaś krzepa, co dopiero jeżeli uzupełnić je „rzepichową" jędrnością. Niestety! Jeden z autorów ankiety szczerze odradza: „Brak dziedzicznej rutyny, koligacji z dynastjami zagranicznemi i poważ gi ze względu na tłum różnorodnych krewniaków i znajomych w kraju, oraz spopularyzowanie jego słabych, zwykle plebejskiego fasonu, stron, biją „Piasta" już na wstępie, zanimby ze zwykłemi trudnościami panowania się spotkał. Musząc więc mieć królem zagranicznego dynastę, najlepiej go wziąć z potomstwa Ludwika XIV, mającego tradycję dobrego rządzenia i życzliwości dla Polski".

No, dawaj, — myślę sobie,— niech będzie zagraniczny monarcha. Ja tam znowu nie jestem taki uparty. Jeżeli potomstwo takie życzliwe dla Polski, no to proszę bardzo. Cóż, kiedy inny uczestnik ankiety namawia, żeby jednak popierać króla krajowego pochodzenia, a mianowicie najstarszego z najstarszej linji książąt Czartoryskich, wnuka niekoronowanego króla polskiego Adama Jerzego Czartoryskiego, a syna Władysława i księżniczki Orleańskiej, p. Adama Ludwika księcia Czartoryskiego, obecnego ordynata sieniawskiego.

Swój do swego po swoje! No, dobrze. Czemu nie? Niech będzie. Już chcę krzyczeć: niech żyje Ludwik II, gdy znowu inny monarchista przekonywa mnie, że „plan powołania jednego z Koburgów jest bardzo dobry, gdyż jest to rzeczywiście rodzina, która we wszystkich państwach, gdzie panuje, wykazuje nadzwyczajne talenty przystosowania się do warunków i pokochania swych poddanych".

No, to niech będzie Koburg, myślę sobie. Jeżeli ten gatunek królewski przystosowuje się do warunków i kocha poddanych, no to świetnie. Miło mi będzie być kochanym przez monarchę. Dawajcie Koburga! Ale znowu protestuje przeciwko temu inny uczestnik ankiety, zachwalając Habsburgów. „Prawda, Habsburgowie uczestniczyli w rozbiorach Polski, później prowadzili w Galicji germanizacyjną i bezwzględną politykę, ale grzechy ich zmazał ces. Franciszek Józef, darowując Galicji szeroką autonomję w r. 1867".

Naprawdę wybór jest trudny. Trzeba się będzie dobrze zastanowić. Na kogo się zdecydowałem, powiem podczas następnego jubileuszu „Głosu Monarchisty".

Tymczasem miłym uczestnikom ankiety, którzy zasieli monarchistyczny niepokój w mem sercu, życzę, aby dobry Bóg zsyłał im często sny, w których każdy mógłby stać przy tronie oroponowanego przez siebie monarchy.

Bo tylko w snach możecie, zacni panowie, zobaczyć realizację swoich ideałów w Polsce Pracującej.

Józef Czyściecki.

SPROSTOWANIE.

W artykule Leonji Jabłonkówny p. t. „Czy szlachetny odwet „Najmłodszej Muzy"? w Nr. 4/5 „Echa Społecznego" z roku bieżącego (w połowie trzeciej szpalty) wydrukowano (garmondem) omyłkowo „duch", zamiast druk, co niniejszym prostujemy.

Kronika spraw pracowniczych

ZAŁATWIENIE SPRAWY ODDŁUŻENIA PRACOWNIKÓW MIEJSKICH W WARSZAWIE.

Miasto uzyskało w jednej z instytucji finansowych kredyt, przeznaczony wyłącznie na uruchomienie akcji oddłużeniowej, którym dysponować będzie specjalnie w tym celu utworzona komisja. Pracownicy, którzy zechcą skorzystać z akcji oddłużeniowej, zgłaszać będą do tej komisji wykaz swych zobowiązań.

Komisja, po rozpatrzeniu wykazu, nawiąże pertraktacje z wierzycielami w sprawie uzyskania bonifikaty wzamian za natychmiastową wypłatę zobowiązań pracowników (za zwrotem skryptów dłużnych).

Na pokrycie swoich zobowiązań pracownicy otrzymają z kredytu, który dysponować będzie komisja oddłużeniowa — pożyczki długoterminowe, potrącane następnie w wysokości 10 proc. poborów miesięcznyca.

WYSOKOŚĆ DOPŁAT ZA LECZENIE SANATORYJNE Z TYTUŁU UBEZPIECZENIA.

Zgodnie z ostatniemi zarządzeniami, ubezpieczeni skierowani do leczenia sanatoryjnego przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych ponoszą z własnych funduszów następujące koszty, związane z tem leczeniem:

Samotni, zarabiający ponad 200 zł. miesięcznie, oraz utrzymujący rodzinę, zarabiający powyżej 300 zł. miesięcznie — ponoszą koszty podróży i taksy klimatycznej; jeśli odległość miejsca zamieszkania ubezpieczonego od zakładu leczniczego wynosi ponad 30 km., Z. U. S. ponosi koszty podróży powrotnej III-ą klasą pociągiem osobowym. Ponadto ubezpieczeni, skierowani do leczenia w miesiącach czerwcu, lipcu lub sierpniu, opłacają część kosztów utrzymania w sanatorjum według następujących: samotni zarabiający od 200 do 300 zł. miesięcznie opłacają dziennie 1 zł., zarabiający od 301 do 400 zł. — 2 zł. dziennie, od 401 zł. do 500 zł. — 3 zł., zarabiający powyżej 500 zł. — 4,50 zł. dziennie; utrzymujący rodzinę zarabiający od 301 do 400 zł. opłacają 1 zł. dziennie, od 401 zł. do 500 zł. — 1,50 zł. dziennie, oraz zarabiający powyżej 500 zł. — 3 zł. dziennie.

PRACE RZĄDOWEJ KOMISJI EMERYTALNEJ.

Odbyło się w Ministerstwie Skarbu pierwsze posiedzenie komisji, powołanej do zbadania zagadnień emerytalnych. Projekt tej komisji zrodził się na terenie Sejmu. Gdy mianowicie posłowie ks. Lubelski i Hoffman zgłosili wnioski w sprawie usunięcia różnicy między emerytami służby zaborczej i polskiej i gdy tylko sprzeciw formalny wicepremjera zapobiegł uchwaleniu tych wniosków, rząd w drodze kompromisu obiecał, że powoła specjalną komisję, która zajmie się rozpatrzeniem poruszonych we wnioskach i dyskusji sejmowej zagadnień emerytalnych.

Rząd utworzył komisję, powołując do niej, oprócz urzędników z Prezydjum Rady Ministrów i Ministerstwa Skarbu, także posłów Wagnera i Tomaszkiewicza, referentów budżetu emerytur, posła Hoffmanna, jako inicjatora sprawy, oraz senatora Pawelca.

Wydaje się rzeczą wątpliwą, ażeby doprowadzono do zrównania służby zaborczej ze służbą polską. Stają tu na przeszkodzie przedewszystkiem względy budżetowe.

Natomiast prawodopodobne jest pozytywne załatwienie sprawy, wyrównania różnic pomiędzy emeryturami, wymierzonemi przed wejściem w życie nowej ustawy uposażeniowej i po niej. Różnice te są bardzo znaczne.

NOWY ATAK NA FUNDUSZ PRACY.

Nie należy bynajmniej w Polsce do rzadkości metoda, gdy chodzi o ludzi pracy, że w momencie, w którym wyniki ich działalności nabierają barw życia i przyjmują formę tworu konkretnego i pożądanego — usuwa się tych ludzi na bok, by dać miejsce ustosunkowanemu wybrańcowi, przypisującemu sobie i tylko sobie efekty wysiłków swego poprzednika.

Tego rodzaju historja rozwija się obecnie w stosunku do instytucji, ogniskującej w sobie wysiłki państwa i społeczeństwa w dziedzinie walki z bezrobociem. Zaledwie bowiem Fundusz Pracy, bo o nim mowa, rozpoczął w szerszym zakresie planową akcję w kierunku stałego potęgowania stanu zatrudnienia w Polsce, gdy rozpoczęto „rozumowaną", nieomal „naukową" kontrakcję przeciwko niemu. Jedni żądają scalenia składek na rzecz Funduszu Pracy, oraz dysponowania wszystkimi funduszami, na walkę z bezrobociem, uzyskanymi w Ministerstwie Skarbu, albowiem w jakim celu — jak mówią owi „spece" — ma się zajmować oddzielna instytucja, jakkolwiek mająca w dziedzinie fiskalnej poważne już doświadczenie, no i sprężysty aparat wykonawczy, przejęty po doskonale zorganizowanym Funduszu Bezrobocia, oprócz, rzecz prosta, poważnego grona fachowców w dziedzinie realizacji zatrudnienia bezrobotnych.

Ostatnio znowu zabrał w tej sprawie głos stołeczny organ prasowy spod znaku Dr. Murka, użalając się, iż zlikwidowano wzorowo prowadzone Ministerstwo Robót Publicznych, odtwarzając natomiast jego działalność w skromnym Funduszu Pracy. Organ prasowy narzeka na rozbudowę aparatu biurowego tego Funduszu, no i wzrost kosztów na administrację z tem związany.

Nietrudno dociec, że Murkowy organ niezupełnie dokładnie orjentuje się w zasięgu i w metodach pracy tej instytucji, która, niewątpliwie, mocno w ostatnich czasach zyskała na sprężystości swego działania.

Ale przypuśćmy, że decydują się właściwe czynniki na likwidację Funduszu Pracy. I co dalej? Ponieważ przez likwidację Funduszu nie zlikwiduje się — i to napewno — bezrobocie, przeto nastąpi przekazanie prac Funduszu, albo: kilku Ministerstwom z oddzielnym aparatem państwowym, koordynującym poszczególne zainteresowane resorty państwowe, albo... powołane zostanie nowe Ministerstwo z nieodzownym w tych wypadkach poważnym rozległym aparatem biurokratycznym. Więc na czem polegaćby miało owe upragnione uproszczenie, czy też potanienie tego tak dzisiaj ważnego działu pracy państwowej i społecznej? Mamy wiele danych mniemać, że pytanie to zostanie bez konkretnej odpowiedzi, nawet przy zastosowaniu Panamurkowej szklanej kuli— wszechwidki.

Więc poco ta dywersja w opinj publicznej i to w sprawie, której pomyślne rozwiązanie polega m. i. na stopniu zaufania społeczeństwa we własne siły i w celowość istnienia instytucji, powołanej m. i. do potęgowania tego zaufania w imię wielkiej ważnej sprawy walki z bezrobociem.

Przegląd polityczny

Po 7-ym marca, który miał stworzyć nową erę w dziejach Rzeszy Niemieckiej, nadeszły i minęły dwie nowe daty historyczne w kalendarzu hitlerowskim: 29 marca — dzień t. zw. wyborów do t. zw. Reichstagu i 31 marca wręczenie rządowi W. Brytanii memorandum niemieckiego, zawierającego plan nowego pokoju w Europie, mający być odpowiedzią na Białą Księgę mocarstw lokarneńskich. Nawet najbardziej gorliwy hitlerowiec nie mógłby powiedzieć, że te daty sprawiły jakiś epokowy przewrót w stosunkach europejskich lub chociaż w położeniu III-ej Rzeszy. Tak zwanemi wyborami do Reichstagu opinja publiczna europejska właściwie nie interesowała się.

Jeden z publicystów niemieckich na emigracji, Max Braun, zupełnie słusznie pisze, że min. Göbbels mógł z równem powodzeniem ogłosić tydzień przed wyborami, że 99 % głosów padło za Führerem, lub nawet 110%.

Doprowadzono tym razem gwałt i przymus do perfekcji.

Nie wolno było ani oddać białej kartki, ani uchylić się od głosowania pod groźbą utraty pracy, lub zasiłku na bezrobocie; wielu obywateli dostało się pod „areszt ochronny" aby zabezpieczyć ich od zemsty „ludu hitlerowskiego" za wstrzymanie się od głosu.

Pomimo to znalazło się około 1½ miljona „zuchwalców", którzy nie głosowali za Hitlerem Ta liczba, której nawet Göbbels nie mógł przemilczeć, jest dostatecznie wymowna. Oto jeden rys charakterystyczny trzecich wyborów, czy też plebiscytu hitlerowskiego.

Druga cecha charakterystyczna — to powierzenie mandatów piastowanych z rozkazu obywatelom niemieckim, jak zbiegli z Czechosłowacji — Krebs i Jung, uciekinierzy z Austrji—Frauenfeld, Reschny i Proksch, a wreszcie wybór d-ra Henryka Classa, który jeszcze w 1891 r. stał na czele Ligi Wszechniemieckiej. Reichstag obecny ma reprezentować już nie 67-miljonowy naród niemiecki, w którego imieniu przemawiał nieustannie Hitler w czasie kampanji przedwyborczej, ale całe sto miljonów Niemców w Europie, a więc także te 33 miljony mówiących po niemiecku, którzy mieszkają poza granicami III-ej Rzeszy. Wśród wspomnianych posłów zakordonowych znalazł się Rudolf Jung, pierwszy twórca partji nacjonal-socjalistycznej w Europie. Już w 1904 r. utworzył on na Morawach grupę niemiecko - robotniczą i z jej ramienia zasiadał w sejmie morawskim. W 1918 r. partja Junga przybrała nazwę nacjonal - socjalistycznej partji Austrji, a w 1920 r. na kongresie tej partji w Salzburgu zjawiła się po raz pierwszy grupka adherentów z Monachjum. Na tym kongresie podzielono partję na trzy oddziały: niemiecki, austrjacki i sudecki. Od 1920 do 1933 r. p. Jung był posłem do parlamentu czechosłowackiego, a do 1922 r. był głównym przywódcą ruchu narodowo - socjalistycznego; on to wyznaczył na przywódcę partji w Niemczech Adolfa Hitlera. Obecnie po ucieczce z Pragi do Niemiec ukrył się pod skrzydłami swojego niegdyś podwładnego i otrzymał odeń mandat do Reichstagu. Sens przydziału tych mandatów jest jasny: Kanclerz Hitler choć, jak mówi, nie lubi symbolicznych gestów, uczynił gest symbolizujący rozbicie państw Austrji i Czechosłowacji. Oto główny sens wyborów z 29 marca 1936 r. Zanim jeszcze ogłoszono imienną listę wybrańców poszedł do Londynu znakomity plan pokojowy III-ej Rzeszy.

Prasa hitlerowska, zamieszczając ten elaborat, złożony z 19-tu punktów, rozczulała się nad jego szlachetnością i wspaniałomyślnością.

Bo i czego tam niema: .

Niemcy gotowe są wyrzec się ciężkich dział i gazów, Niemcy chcą dopuścić do paktu zachodniego nawet Holandję, Niemcy chcą zawrzeć w ciągu 4-ch miesięcy nowy pakt z Francją i Belgją, gwarantowany przez W. Brytanję i Italję, Niemcy pragną usunąć z podręczników i z piśmiennictwa wszystko co jątrzy stosunki francusko - niemieckie i t. d. i t. p. Wzamian za to Niemcy zapowiadają, że zażądają zwrotu kolonji i że wrócą do Ligi Narodów, jeżeli pakt Ligi będzie oddzielony od traktatu wersalskiego...

Dlaczego na tej formalności zależy Führerowi, dobrze nie wiadomo, skoro traktat wersalski właściwie już nie istnieje z wyjątkiem postanowień o terytorjach w Europie, których, jak zdawało by się, kanclerz nie kwestjonuje... Oczywiście, jest to formalność wysunięta jedynie dla rozmów dyplomatycznych tak samo, jak cały zapas projektów przyszłych umów i paktów, które miałyby zapewnić Europie błogostan na lat 25. I oto tu przychodzi dla Niemiec pewne rozczarowanie: wszystko co skrzętnie nazbierano, aby dogodzić pacyfizmowi angielskiemu, a raczej niechęci Anglji do dalszych zobowiązań w obronie Francji, straciło przy bliższem wejrzeniu urok dla Anglików.

Jeden za drugim z „wielce czcigodnych" członków Izby Gmin pyta, a jak to jest z temi kolonjami, jakie i kiedy Niemcy chciałyby zabrać. Sam minister Eden musiał zadać von Ribbentroppowi takie drażliwe pytanie, adresowane właściwie do Hitlera, grzecznie podkreślając, że nie oczekuje na nie odpowiedzi na piśmie. Nie zrywając rozmów, bardzo ostrożnie dyplomacja brytyjska ciągnie i wlecze narady, wynikłe z zerwania Lokarna przez Niemców, tracąc stopniowo ochotę do traktowania na serjo niemieckich propozycji. Bardzo powoli czar t. zw. pokojowego planu Hitlera pryska. Dyplomacja francuska idzie inną drogą, właściwie od pierwszej chwili odwróciła się od tego bluff'u, który Anglicy poważnie traktują, oglądając ze wszystkich stron. Pozornie polityka francuska nic nie zyskała; na raziła się na tarcia z W. Brytanją, ale w rzeczywistości w okresie angielskich narad zrodził się francuski plan pokojowy, przeciwstawiający się z gruntu i kardynalnie t. zw. planowi niemieckiemu. Cała „kasza niemiecko - nadreńska" na razie zeszła nieco w oczach angielskich na dalszy plan, gdyż widok zasłania nowy przebieg wydarzeń na froncie abisyńskim. Ostatnie tygodnie od początku marca przyniosły Włochom znaczne rozszerzenie terenu okupacji w Abisynji. Już około jednej trzeciej państwa Negusa jest pod rządami wojsk włoskich. Jednocześnie Rzym szerzy codzień wieści o zniszczeniu całej armji abisyńskiej i o masowem przechodzeniu ludności na stronę okupantów. Cesarz Abisynji, z goryczą żaląc się na spóźnione i nieskuteczne uchwały Ligi Narodów, przeciw tym wieściom rzymskim protestuje, obala fałsze i twierdzi, że armja abisyńska jest gotowa do dalszej walki w obronie całości i niepodległości swojej ojczyzny.

Jednak już w Izbie Gmin mówi Churchill, że dzieje wojny abisyńskiej obecnie, stanowić będą jedną z najbardziej melancholijnych kart w kronikach Anglji. — Oprócz przemówień nie przyszliśmy Abisynji niczem z pomocą—Mówi się to dziś, gdy wojska włoskie już zajęły Gondar i doszły do brzegów tajemniczego i życiodajnego jeziora Tana — z jednej strony, a na brzegu Czerwonego Morza, gdzie przechodzi brytyjska droga do Indji wzniosły w Assabie fortecę, drodze tej zagrażającą. Łudzi się ten, kto sądzi, że w tem położeniu W. Brytanja zechce pójść na kompromis z efektownym sukcesem włoskiej kampanji wojennej.

Łudzi się Mussolini, jeżeli sądzi, że teraz już przed okresem deszczów otrzyma pełną zdobycz, która była by usprawiedliwieniem afrykańskiej awantury. Łudzi się zarówno jak i Hitler, który sądzi, że już właściwie zaszachował wszystko i wszystkich, że rozbił sojusz naturalny ludów Europy. Sojusz powstaje aby rozbić klatkę uciemiężenia ludzkości, w której przygotowuje się jatki powszechne dla celów t. zw. interesu narodowego, czy państwowego.

Przed samemi świętami wznawia się w Genewie zerwana nić rokowań i rozmów dyplomatycznych, nastąpi jeszcze parę protokółów, memorandów, planów i konferencji. Będą znowu momenty, gdy będzie się zdawało, że Hitler oderwał Francję od Anglji, że wraz z Mussolinim zdołali wygrać te sprzeczności dla interesów swoich reżimów. Po krótkiej przerwie świątecznej potoczy się dalej ten kłębek dyplomatycznej, ale nie z niego przecież popłynie rozstrzygnięcie i twórcza decyzja.

t. r.

Z życia naszego związku

NOWE WŁADZE W ODDZIAŁACH ZWIĄZKU

W oddziałach naszego Związku odbyły się Walne Zebrania, na których wybrano nowe władze.

W **Białej** odbyło się walne zebranie 22 stycznia 1936 r. Zarząd Oddziału wybrano w następującym składzie: kol. kol. **Korzeniowski Antoni** (prezes), Sulimierski, Władysław, Kozior Józef, Juszczak Marjan, Woźnicka Leokadja, Wierzbicki Andrzej, Sztorc Tadeusz.

W **Białymstoku** na walnem zebraniu Oddziału w dniu 9 lutego 1936 r. wybrano zarząd w składzie: kol. kol.: **Normantowicz Władysław** (prezes), Muszyński Aleksander, Bańkowski Eugenjusz, Kukliński Mieczysław, Grzegorzewski Ludwik, Siekiewicz Michał.

W **Bydgoszczy** zarząd Oddziału na walnem zebraniu w dniu 14 marca 1936 roku został wybrany, jak następuje: kol. kol.: **Pańkowski** (prezes), Dębowski, Wielhorski, Bąkowa, Moraczewski, Perski, Burszczykówna, Waniorkowa, Borowiczówna, Koza. Komisja Rewizyjna: kol. kol.: Gluska, Derecki, Wojewodzianka. Sąd Koleżeński: kol. kol.: Kaźmierczak, Piotrowski, Mucha.

W **Chrzanowie** Walne Zebranie Oddziału wybrało w dniu 1 lutego 1936 r. nowy Zarząd w składzie: kol. kol.: **Gacek Franciszek** (prezes), Krupa Wincenty, Lenartowicz Janina, Dzierwa Tadeusz, Saługa Józef, Kożuch Eugenjusz, Kocot Piotr, Czechowski Stanisław, Urbański Andrzej, Starowicz Józef, Pilch Tadeusz, Lasota Józef.

W **Częstochowie** na Walnem Zebraniu w dniu 7 marca 1936 wybrano Zarząd, w skład którego weszli kol. kol.: **Walczak B.** (prezes), Ociepa Zygmunt, Barański Piotr, Woyton Leon, Świech Marja, Pietras Edward, Szot Antoni, Kamiński Władysław, Stępiński Czesław oraz zastępcy, kol. kol.: Sztymela J., Borucki Władysław, Łaszczyński St., Dykman Bolesław, Pydzik Andrzej. Komisja Rewizyjna: Molicki Stefan, Janik Juljan, Krygier Jan, Tyll Stanisław, Bugaj Mieczysław. Sąd Koleżeński: kol. kol.: Nocoń Józef, Strońska Marja, Skórzyński Ignacy, Łaszczewski Juljan, Jędrysiak Juljan.

W **Inowrocławiu** Walne Zebranie Oddziału w dniu 24 lutego 1936 r wybrało zarząd, złożony z kol. kol.: **Wielich Teodor** (prezes), Strachanowski Marcin, Minkowski Franciszek, Lewandowicz Aleksander, Sendyk Zygmunt, Kołodziejski Leon, Michalak Hieronim. Komisja Rewizyjna: kol. kol.: Pączkowski Bolesław, Jagiełka Chryzostom, Łojewski Hieronim, oraz zastępcy: Wiśniewski Adam, Lesicki Bronisław.

W **Wągrowcu** Walne Zebranie w dniu 14 marca 1936 roku wybrało zarząd w składzie kol. kol.: **Kordon Ludwik** (prezes), Woźniak Feliks, Tyksiński Mieczysław, Gruntkowski Wacław, Bonowski Jan, Rotter Marjan, Sajna Franciszek.

*

Z braku miejsca, na tem przerywamy — do następnego numeru „Echa Społecznego"—wykaz nowych władz Oddziałów Związku

W TEATRZE

Drugi już raz oglądamy w Teatrze Polskim sztukę przedstawiającą w szeregu odsłon całe życie człowieka, od jego urodzenia aż do późnej starości lub zgonu. Jedna z nich miała wyraźne zabarwienie komedjowe, chwilami nawet farsowe, to Węgra, Bus - Feketego „Urodziny". Dziś mamy „Rodzinę Massoubre'ów" Francuza Deval'a, ujętą bardzo, aż za bardzo „poważnie". Czemu mówię z przekąsem? To się okaże niebawem.

Dzieje człowieka! Cóż bardziej pasjonującego! Dzieje epok jednocześnie, bo przecież jasną jest rzeczą, że dojrzały człowiek współczesny przeżył ich conajmniej trzy i to bardzo różnych: dawny świat z przed 1914 r., epokę wojenną, no i epokę wielkiego zamętu — dzisiejszą. Dla powieściopisarza to są istne bogactwa Golkondy i tym nawałem materjału możemy sobie tłomaczyć powodzenie wielkich cyklów powieściowych. Ale dla dramaturga to jest trochę za dużo. Tego wszystkiego jedna sztuka nie udźwignie. Mój Boże, sześćdziesiąt lat życia człowieka sprowadzić do kilkunastu epizodów, czy to podobna? To też zamiast obrazu istnienia ludzkiego dostajemy luźne i najczęściej niezwiązane ze sobą fragmenty, bardzo dowolnie wybrane przez autora i w gruncie rzeczy nie świadczące o niczem. Spotykając po paru latach tę samą postać widzimy, że grający ją autor włożył inną perukę i charakteryzacja zaznaczył różnicę wieku, a przecie po paru latach ten sam człowiek staje się kim innym. Skądże możemy po kwadransie wiedzieć jaki jest ten, którego widzimy w tym dowolnym przekroju, w jakim autorowi spodobało się go nam pokazać. Na przestrzeni jednej odsłony nie dowiemy się o nim prawie niczego i mimo, że widzimy, rzekomo, całe jego życie, przez cały czas pozostaje on nam obcy i nieznajomy, właśnie jak ów bohater Devala. Wynika dość żenująca sytuacja: niby przez szklaną ścianę obserwujemy jakiegoś pana w najbardziej intymnych momentach, ale ani przez chwilę nie staje się on przez to bliskim.

Deval ujął swoją sztukę poważnie, t. zn. ponuro i makabrycznie. Każda odsłona odpowiada jakiejś innej ohydzie, tak, że już potem z każdem podniesieniem się kurtyny patrzymy ubawieni co też autor jeszcze wymyśli. Oto w odsłonie pierwszej za sceną rodzi się młody Massoubre. Tymczasem my obserwujemy całe bagno mieszczańskiego życia. Dwaj bracia „z lepszej sfery", żrący się bezustannie, wreszcie jeden sprzedaje drugiemu kochankę wzamian za zegar. Daje się nam do zrozumienia, że jeden z braciszków dopomógł wydatnie przeniść się na tamten świat papie Massoubre, że patrjarcha rodu lubi nieletnie dziewczynki, że mamka, którą przyjmują do noworodka, jest pijaczką i że od jutra będzie żyła z ojcem położnicy. Uff! Myślicie, że koniec? Ale gdzieżtam!

W następnej odsłonie widzimy przerażające sceny w szkole dla chłopców, gdzie sadyzm, homoseksualizm, służalczość i brak koleżeństwa są panującą normą. Widzimy jak młody Massoubre bezwiednie, ale brzydko, staje się pośrednim mordercą swego kolegi. Wchodzi w życie zbryzgany jego krwią.

I to nie koniec. W następnej odsłonie doznaje wtajemniczenia erotycznego właśnie ze swoją mamką, którą widzieliśmy w odsłonie pierwszej. I tak dalej i tak dalej. Uczucie zgrozy rychło przeradza się w uśmiech. Nagromadzenie okropności siłą kontrastu budzi zupełnie przeciwne uczucia. Zresztą dalej horyzont się odrobinę przejaśnia. Wbrew wyraźnej intencji autora widzimy, że współcześni ludzie, choć mali i marni, są jednak trochę przyzwoitsi, że współczesne życie zwłaszcza zdobyło sobie formy, będące wyraźnym postępem w zestawieniu z epoką poprzednią. Syn bohatera już się nie wychowuje w koszmarnej szkole, młodość jego upływa słonecznie i zdrowo. Że i on zwykłą koleją rzeczy, panującą w tej rodzinie stanie się zabójcą swego ojca, to już jest mocno naciągnięty przez autora pesymizm, bo my nie widzimy żadnych powodów po temu. Ta dowolność mocno drażni. Zabardzo już u Devala umierają ludzie od zmartwień, żona bohatera, bo mąż ją zdradza, on sam, bo syn go zdradził w towarzystwie akcyjnem. To są niedozwolone chwyty dla pisarza; życie może sobie pozwolić na zupełną dowolność, literatura — nie.

Dużo zarzutów można robić sztuce Deval'a, ale warto ją zobaczyć, choćby dlatego, że już z racji swojej rozległości w czasie nasuwa mnóstwo spraw i zagadnień. Brutalność jej może się nie podobać, ale jednak dzięki niej dochodzą do głosu kwestje nazbyt wstydliwe i obłudnie przemilczane, a które warto choćby raz przemyśleć. Pozatem poza wstrętną sceną konania, która jest prawdziwem nadużyciem w stosunku do widzów, rzecz grana jest dobrze i słucha się jej z zajęciem. Rolę tytułową gra Junosza Stępowski, któremu autor nie dał coprawda dość rysów dla stworzenia wyrazistej figury, ale który zawsze i we wszystkiem potrafi być wielkim aktorem.

Irena Krzywicka

Dwie wystawy

Język malarstwa, podobnie jak muzyki, jest z natury rzeczy międzynarodowy. Barwa i dźwięk, to elementy, które posiadają swój wyraz bezpośredni, działają samą swoją jakością, nie wymagającą klucza umówionej symboliki lingwistycznej. (Oczywiście, mowa tu o przejawach twórczości artystycznej w obrębie względnie przynajmniej zbliżonych kultur — sztuka egipska sprzed tysięcy lat może nie być odrazu dostępna dla współczesnego europejczyka. Takich przykładów, dotyczących nawet i mniej oddalonych epok znalazłoby się, zwłaszcza w dziedzinie plastyki, bardzo dużo, ale w tym wypadku chodziłoby o „klucz" zupełnie innego rodzaju).

Z tego wypływa swoisty charakter wystaw retrospektywnych, które w największym oczywiście skrócie reprezentować mają kulturę plastyczną danego narodu na przestrzeni kilkudziesięciu, czasem kilkuset lat. Z jednej strony łatwiej nam o sprowadzenie eksponowanych dzieł pod wspólny mianownik tych prądów i kierunków artystycznych, które mieliśmy sposobność obserwować u innych społeczeństw — a w miarę oddalania się pewnych objektów od tego wspólnego mianownika, nie trudno ustalać ich odrębność rasową czy narodowościową; z drugiej strony — ocena nasza może być sprawiedliwsza, dzięki temu, że nie musimy się obawiać, by komplikacje „przekładu" nie zaciemniły nam bezpośredniego wglądu w istotę danego dzieła.

W Warszawie odbywają się w tej chwili jednocześnie dwie wystawy retrospektywne: sztuki duńskiej i sztuki łotewskiej. Jakieś wartościowanie ich porównawcze i usiłowanie wysnucia dalej idących wniosków o ogólnym charakterze sztuki, a może i wogóle kultury narodów: duńskiego i łotewskiego na podstawie tych wystaw — doprowadziłoby nas stanowczo za daleko. Stwierdzimy raczej, że wystawa łotewska obesłana jest bardziej interesująco i różnorodnie — podczas gdy duńską cechuje nietylko pewna jednostajność kolorytu i faktury, ale i — wiążąca się z tem oczywiście — jednostajność kierunku: mianowicie, silne związanie z naturalizmem niemieckim drugiej połowy XIX w.

Impresjonizm francuski — prąd, który zaważył w mniejszym czy większym stopniu na malarstwie przedwojennem, a do pewnego stopnia i późniejszem, całej Europy — to był nietylko pewien stosunek do rzeczywistości, wyrażający się w jej traktowaniu relatywistycznem i impresyjnem; t była w swoim czasie rewolucja w dziedzinie techniki malarskiej, w dziedzinie podejścia do barwy i faktury, rewolucja przedewszystkiem w stosunku do światła w obrazie. Niezależnie od tego, jak my dziś odnosimy się do tego kierunku, niepodobna już przejść do porządku nad temi wszystkiemi zdobyczami, które ten prąd wniósł do dorobku naszej kultury plastycznej. Nawet reakcja przeciwko podstawowym założeniom impresjonizmu, gwałtowny odeń odwrót i siła kierunków powstałych na jego gruzach — mogą być tem płodniejsze i bardziej wartościowe, im głębiej zostały wchłonięte i przetrawione te wszystkie niewątpliwie walory, które niósł ze sobą.

Na wystawie duńskiej nie czujemy wpływów impresjonizmu francuskiego. Byłoby to bardzo pocieszające, gdyby wypływało albo z bardzo nowoczesnego charakteru wystawionych dzieł, albo też gdyby znamionowało jakieś silnie indywidualne, odrębne oblicze sztuki duńskiej. Niestety jednak, zależność obrazów, które oglądamy w tej chwili w Ipsie, jest niewątpliwa — wywodzi się jednakże nie od Francji, lecz od Niemiec XIX wieku. Jeżeli mowa tu o jakimś impresjonizmie, to tylko o impresjonizmie monachijskim, który różni się do francuskiego właśnie brakiem owej kultury barwnej, brakiem światła w obrazie, brakiem kompozycji kolorystycznej — słowem, tem wszystkiem, co stanowi o sile przyciągającej i właściwej wartości impresjonizmu gallickiego. Większość obrazów duńskich — to czysto tematyczne rozwiązanie na płótnie. Martwe w kolorze, szare, brunatne, historje o rybakach, czy martwe natury. — Z wyjątkiem paru zaledwie utworów, jak np. ekspresjonistyczny krajobraz Nielsa Lergaarda, czy interesujące „Wnętrze" Helge Jensena czy autoportret Giersinga — brak tu zupełnie obrazów, które wykazywałyby jakieś związanie z nowszemi prądami w sztuce — chociażby z temiż niemieckiemi, lecz bardziej wartościowemi, jak ekspresjonizm, czy powstała przed kilku laty „nowa rzeczowość" (Die neue Sachlichkeit).

Nie chcemy przypuszczać, by to dziwne związanie z jednym, i to nie najpiękniejszym, okresem malarstwa niemieckiego, miało być decydujące dla całokształtu sztuki duńskiej lat ostatnich; wolimy przypuszczać, że wystawa warszawska jest poprostu dość nieszczęśliwie dobrana.

O wiele lepiej przedstawia się wystawa sztuki łotewskiej. Ten kraj, którego świadomość narodowa zaczęła się budzić dopiero w XIX w., wytworzył już bardzo bogatą i zróżnicowaną twórczość artystyczną. Obrazy z okresu impresjonizmu, zdradzające wyraźne i silne wpływy francuskie, wykazują jednakże również dużą dozę indywidualności narodowej — niewyrażającej się w odrębnej tematyce, lecz w pewnem swoistem nastrojowem i uczuciowem zabarwieniu (Purvitis). Bardzo interesująco przedstawiają się silne tendencje dekoracyjne malarzy łotewskich, z których bardzo wielu przejawia wyraźne „penchant" do sztuki monumentalnej (fresk, malarstwo na szkle), oraz do malarstwa teatralnego.

Post-impresjonizm, zabarwiony wyrazistemi tendencjami ekspresjonistycznemi, jest na wystawie łotewskiej bogato reprezentowany. Niewątpliwie, na pierwszem miejscu należałoby tu postawić Augusta Annusa, którego „Sonata", oraz „Kobiety na brzegu morza" odznaczają się niezwykłą ekspresją kolorystyczną i żywą, pełną wewnętrznej „soczystości" fakturą; bardzo interesujący jest Janis Liepius, ze swemi studjami rybackiemi, Liberts, o wyraźnem zacięciu dekoracyjnem, oraz doskonały i pogłębiony zarówno w technice, jak w wyrazie — Otis Skulme. Żałujemy trochę, że nie pokazano nam wcale przedstawicieli skrajnych kierunków abstrakcjonizujących i deformujących rzeczywistość — kubistów i suprematystów, którzy na Łotwie mają swoją ciekawą kartę.

W każdym razie wystawa łotewska świadczy o wysokiej kulturze malarskiej Łotwy — kulturze, która, czerpiąc z najświetniejszych wzorów zachodnio-europejskich, potrafi jednak zachować artystyczną samodzielność.

L. J.

Z WYDAWNICTW

Ewa Szelburg-Zarembina: „Ludzie z wosku". Warszawa, 1936, nakładem Gebethnera i Wolffa.

Czytając dopiero co wydanych u Gebethnera „Ludzi z wosku" Ewy Szelburg-Zarembiny znowu ulegamy urokowi, który fascynował i przykuwał nas do kart „Wędrówek Joanny".

W „Ludziach z wosku", drugim tomie z cyklu „Matka Judasza" Joanna nie jest małą balladową dziewczynką — jest już dorosła, ma męża Kaja i córeczkę Salomeę. Wincenta, okrutna macocha, mignie tu tylko raz, gdy Joanna przywiezie do Częstochowy złożonego niemocą Kaja. Ludzie są tu nie ci sami, ale świat jest po dawnemu pełen sił fatalnych, nazewnątrz i wewnątrz człowieka, człowiek jest po dawnemu rozdarty między niepohamowanem, rzec można spazmatycznem pragnieniem, tęsknotą i potrzebą współżycia a przyrodzoną, tragiczną antysocjalnością; Joanna pa dawnemu błąkała się śród niedostatku, chorob zbrodni i walk.

Zarembina wywiodła zwycięsko naszą powieść z rodzaju, który Francuzi określają mianem „genre ennuyeux". Panoszy się u nas ostatnio snobistyczna moda, że „dobra" powieść powinna być niefabularna, monotonna i programowa niezajmująca. W „Ludziach z wosku" mamy oto arcyświetną powieść, której **koleje można śledzić z zapartych tchem.** Jej żywa, bogata fabuła nie jest oczywiście środkiem artystycznym zaciekawienia czytelnika, ale jest odpowiednikiem życia, jest krętą, żywiołowa, zmienna i nieharmonijna jak ludzkie losy.

„Ludzie z wosku" nie straciły nic z walorów i uroków „Wędrówek Joanny" — są tylko bardziej bliskie i może dla nas ważniejsze. Kompozycja zaś cyklu jest taka, że można „Ludzi z wosku" czytać, nawet gdy się nie zna „Wędrówki Joanny".

ORKAN WŁADYSŁAW: **„DROGĄ CZWARTAKÓW".**

Jednym z mniej znanych dokumentów walk legjonowych jest książka Władysława Orkana.

Pióro pisarza z całą potęgą ekspresji opisuje stoczone bitwy, pościg za nieprzyjacielem, a przedewszystkiem z głębokiem odczuciem doli człowieczej maluje tragedje wojny: obrazy pogorzelisk, zniszczonej polskiej wsi, nędzy mieszkańca. Odtwarzając piekło zniszczenia i mordu zdobywa się Orkan na moc uczucia, które przelewa się w słowie pełnem siły przejmującej. Tu panuje Orkan — człowiek. Ale z kart „Drogi Czwartaków" ukazuje się również oblicze Orkana — artysty.

Między opisami pełnemi tragizmu trafiają się ustępy wspomnień godne kart opowieści „Drzewiej". Chwyta poeta — w czasie marszu — niezapomniane widoki kwitnących pól i lasów, i tworzy liryczne, dziwne aż na tle wojny w swej poetyckości opisy krajobrazów. A czasem znów mimochodem wpleciony jakiś kawał obozowy, jakaś scena pełna humoru składają się na całość wspomnień.

Książkę uzupełnia szereg luźnych scen z czasów wojny, okolicznościowe artykuły z okresu pracy werbunkowej i fragment początkowy niedokończonej powieści „Wojna".

Po za treścią — piękny, bogaty Orkanowski język — najczystsza polszczyzna, tworzą z książki pożyteczną i ciekawą lekturę. Literaturze legjonowej przybyła cenna, z powodu wartości historycznych i beletrystycznych, praca.

Połączenie organizacyj zawodowych zawodów wolnych

Kiepsko widocznie zaczyna się dziać pod względem materjalnym uczestnikom t. zw. zawodów wolnych, skoro własne ich organizacje, powoływane dotychczas do życia przeważnie dla celów reprezentacyjnych i wymagań eleganckiego życia towarzyskiego, ujawniają obecnie tendencję powiązania tych organizacyj wspólnymi węzłami w imię obrony egzystencji zawodowej tych do niedawna wyróżnianych przez los pracowników umysłowych.

A zespół to niemały, gdyż sięgający liczby 40.000 wolnozawodowców.

Zarówno ze względu na wartości obywatelskie wielu z nich, jak i pokaźną liczbę zrzeszonych — scalona organizacja wolno-zawodowców, ujęta w energiczne dłonie ludzi mądrych, mogłaby poważnie zaważyć na losach dalszego kształtowania się frontu pracowniczego.

Im prędzej to scalenie nastąpi, tem lepiej będzie dla świata pracy, albowiem zanikają szybko i ostatecznie różnice pomiędzy obywatelem, żyjącym z najemnej pracy umysłu, a obywatelem żyjącym ze swego wolnego zawodu, różnice, wynikające przedewszystkiem z wielkiej do niedawna rozbieżności skali zarobków, a co za tem idzie i skali życia i jego wymagań.

Feljeton muzyczny

Na Szpitalnej zebrało się kilkadziesiąt osób spośród przechodniów. Zapatrzeni w jakiś punkt na tle murów narożnej kamienicy zatamowali oni ożywiony zazwyczaj ruch na chodniku. Zatrzymałem się mimowoli, zwłaszcza, że spod szarego muru doszły do mnie jakieś dźwięki. Nie byłem pewny, czy to śpiew dziecka, czy też tony skrzypiec. Czy może — głośnik radjowy... To nie była trywjalna muzyka podwórzowa, w tych dźwiękach drgała czyjaś dusza. Zajrzałem poprzez zgromadzony tłum. Pod szarym murem, odwrócony ku niemu twarzą, pochłonięty snać swym ulicznym „występem" stał młody, dwudziestoletni student jednej z wyższych uczelni. Z jego tanich skrzypiec płynęły w tłum dźwięki arji Bacha, a po niej jakiejś dziwnie tęsknej melodji Różyckiego. Stał pod murem jak skazaniec, oczekujący, w powodzi dźwięków, na egzekucję. Nie patrzał w otaczający go tłum ciekawych i nie wyciągał ręki.... Lecz do wyszarzałej kieszeni palta sypały się dobrowolne datki tych, którzy odczuli „chwilę osobliwą", jaka zmusiła akademika polskiego do wyjścia — na ulicę. Uśmiechnąłem się sam do siebie, myśląc o decentralizacji muzyki, która jak to sam na tych łamach pisałem, opuścić winna surowe przybytki i — wsączyć się w społeczeństwo. Czyżby obrazek na Szpitalnej miał być potwierdzeniem głoszonej przez piszącego zasady? Czy może dokonają tego zbiorowe występy zespołów orkiestrowych, nieraz wcale dobrych, na asfalcie naszych podwórek? Czy tą drogą piękno muzyki ma obudzić w społeczeństwie poczucie piękna? Oto pytania, jakie cisnęły mi się na usta, kiedy wkładałem ukradkiem swój grosz ofiarny do wytartej kieszeni, grającego na ulicy Szpitalnej, akademika.

Cisnęły się również i gorzkie słowa krytyki pod adresem tych, których obowiązkiem jest baczyć, aby akademik polski nie szargał czapki studenckiej. W ten sposób podana tłumom muzyka, to nie decentralizacja sztuki, ale — wyrażając się oględnie — pojęcie wręcz przeciwne. To bardzo „budujący" obrazek dla cudzoziemców.

Słuchając w parę dni później pięknego koncertu „Harfy", obchodzącej w r. bieżącym trzydziestolecie swojej działalności artystycznej, przenosiliśmy się myślą w bohaterski, pełen młodzieńczych porywów, rok 1905. W tym wielkim roku, który wart jest poematu, powstała obok szkoły polskiej „Harfa" — dziś najświetniejszy z chórów polskich. Wacław Lachman i jego pełna zapału działalność związała się raz na zawsze z życiem zespołu „harfiarzy", jak wyniosła, szlachetna postać Maszyńskiego z życiem dawnej „Lutni". Koncert jubileuszowy był dowodem, że chór Lachmana doskonali się wciąż. Trudne, a nawet częściowo niewdzięczne dla chóru kompozycje, wykonane na tym koncercie były z jednej strony dowodem wyrobienia artystycznego „Harfy", z drugiej — przestrogą dla kompozytorów, że w ten sposób pisać na chór nie należy. Dlatego też utwór Niewiadomskiego brzmiał o wiele pełniej, chwytając za serce pięknem jego melodji. Koncert „Harfy", to jeden z najpiękniejszych wieczorów spędzonych w okresie sprawozdawczym. Przed kilku dniami wzięli harfiści udział w uroczystym festiwalu pięćdziesięciolecia zgonu Fr Liszta, urządzonym z wielkim pietyzmem w Filharmonji.

Spośród innych koncertów wyróżnić należy recital fortepianowy profesora Władysława Burkatha, dany pod protektoratem poselstwa łotewskiego z udziałem Anieli Szlemińskiej, najpopularniejszej dziś, świetnej pieśniarki naszej. W konserwatorjum grali Woytowicz, Wielhorski i wielu innych spośród młodej Polski.

A na ulicy Szpitalnej „koncertuje" nadal głodny akademik polski.

Arte.

CENY OGŁOSZEŃ: Za miejsce wysokości 1 milimetra w jednej szpalcie: na str. 1-ej zł 1—; w tekście 70 gr.; za tekstem 50 gr **Nekrologi** po 20 gr., najmniejszy nekrolog 20 zł Ogłoszenia cało i półstronicowe wg. cen specjalnych Ogłoszenia tabelaryczne o 25% drożej Ogłoszenia w kolorze o 50% drożej Nieumieszczenie ogłoszenia nie obowiązuje Administracji do podawania powodów **Redakcja rękopisów nie zwraca.**

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. **PRENUMERATA:** roczna zł. 4.50 Konto wydawcy w P. K. O. 21670.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Czackiego 14, tel. 269-40**

Redaktor Naczelny i odpowiedzialny: **Juljusz Domański** Wydawca: **Zarząd Główny Zw. Zaw. Prac. Ubezp. Społ. w Polsce**

2644 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.